

ROK 1953

ZESZYT 3 (108)

PORADNIK JEZYKOWY

MARZEC
1953



PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Zatwierdzone pismem Min. Oświaty nr VI Oc-2755/49 z dnia 30 stycznia 1950 r. do użytku szkolnego jako pożądane w bibliotekach nauczycielskich.

T R E Ś Ć N U M E R U:

	Str.
1. WITOLD DOROSZEWSKI: Przedmiot i metody dialektologii (Ciąg dalszy) .	2
2. BRONISŁAW WIECZORKIEWICZ: Z tradycji językoznawczych polskiego oświecenia	10
3. STANISŁAW SKORUPKA: Z zagadnień leksykografii: I Synonimika (Ciąg dalszy)	17
4. Recenzja: TADEUSZ MILEWSKI: Franciszek Sławski — „Słownik etymologiczny języka polskiego	23
5. EUGENIUSZ SŁUSZKIEWICZ: Jeszcze słówko o nazwie obcej „Paternoster“ Dlaczego „więźniarka“ »kobieta więzień«	30 31
6. Z gwary sandomierskiej: O chłopie pańszczyńnianym i królu	33
7. W. D.: Objasnienia wyrazów i zwrotów	34

WYDAWCA: PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

REDAKCJA: WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 26/28,
ZAKŁAD JĘZYKA POLSKIEGO UNIwersytetu warszawskiego
KOMITET REDAKCYJNY: PROF. DR WITOLD DOROSZEWSKI
(REDAKTOR NACZELNY), PROF. DR HALINA KONECZNA, DR STANISŁAW SKORUPKA, PROF. DR STANISŁAW SŁOŃSKI
SEKRETARZ REDAKCJI: MGR WANDA POMIANOWSKA.

Cena pojedynczego numeru 3 zł. Prenumerata roczna 30 zł.

ROK 1953

MARZEC

ZESZYT 3 (108)

PORADNIK JĘZYKOWY

MIESIĘCZNIK
REDAKCJI SŁOWNIKA JĘZYKA POLSKIEGO
(założony w r. 1901 przez Romana Zawilińskiego)

Dnia 5 marca 1953 roku zmarł w Moskwie

JÓZEF STALIN

Największy Człowiek naszej epoki,

Myśliciel - Rewolucjonista,

Pogromca hitleryzmu,

**Wódz Zwycięskiej Armii Radzieckiej,
która wyzwoliła liczne narody Europy**

z najstraszliwszego upokorzenia i niewoli,

Głosiciel i Realizator hasła przyjaźni między narodami,

Wódz Obozu Pokoju,

Autor przełomowych prac o językoznawstwie

P. S. Artykuł poświęcony pamięci Józefa Stalina umieścimy w najbliższym zeszycie naszego pisma.

PRZEDMIOT I METODY DIALEKTOLOGII

(c. d.)

Zwolennikiem jak najściślejszej fonetyczności w zapisach tekstów dialektycznych był, jak wiadomo, Gilliéron. Chodziło mu o to, żeby zapis był wiernym odbiciem rzeczywistości fonetycznej, a nie tych z konieczności w jakimś stopniu znormalizowanych wyobrażeń, jakie o tej rzeczywistości ma językoznawca. Językoznawcy „świadomie lub nieświadomie przewidują, retuszują, poprawiają, adiustują, krótko mówiąc ich mózg pracuje nawet wówczas, gdy chcieliby, żeby był nieczynny, gdy tymczasem w grę powinno wchodzić tylko słyszenie“ (Pathologie et thérapeutique du langage, 45).

Bardzo słuszna jest uwaga Gilliérona, że: „praca retuszowania nie jest wcale taka niewinna, jakby kto mógł sądzić, bo często zaciera odcienie cenne dla obserwowania praw.“

Wzmianka o prawach wskazuje, że Gilliéronowi szło nie tylko o autentyczność szczegółów, ale i o kwestie ogólniejsze, o prawa, z których badania nie rezygnował (jak pokrewny mu pod pewnymi względami temperamentem Brückner).

Nieufność Gilliérona względem nieuleczalnie skłonnych do normalizowania zapisów językoznawców może być w wielu wypadkach praktycznie uzasadniona, trudno jednak stać zasadniczo na stanowisku, że wykształcenie językoznawcze jest przeszkodą w zapisywaniu tekstów gwarowych. Oprócz posiadania wiedzy fachowej językoznawca nie musi się odznaczać brakiem zdrowego rozsądku. Zdrowy rozsądek nakazuje zapisywać to, co się słyszy, możliwie jak najściślej i bez żadnych uprzedzeń, odkładając na później analizę zapisu; ta analiza bardzo często prowadzi do charakterystyki odmiennej od tej, jaką by się sformułowało na podstawie ogólnego wrażenia odniesionego w czasie rozmowy z informatorem. Ktoś, kto by się przy teoretycznych uprzedzeniach upierał wbrew świadectwom słuchu, oczywiście dyskwalifikowałby się jako badacz i tak zapisujących nie można w ogóle brać w rachubę. Ale wpływać na jakość posłyszeń mogą nie tylko teoretyczne uprzedzenia, może przede wszystkim brak wyrobienia słuchowego, niewrażliwość na odcienie dźwięków, mały stopień zróżnicowania słuchu — a tego rodzaju braki wykształcenie fonetyczne może, jeżeli nie usuwać, to w każdym razie zmniejszać. Zdarzyło mi się kiedyś spotkać w Rydze trzydziestoletnią Polkę urodzoną i stale zamieszkałą na Łotwie i mówiącą po łotewsku nie gorzej niż po polsku. Osoba ta nie uświadamiała sobie, że po łotewsku grupę *ki* wymawia się *ti* i dopiero kiedy wspomniałem o tym w rozmowie (bo słyszałem jak ktoś z Łotyszów nazwisko prof. Plakisa wymawiał Płatis), po namyśle przyznała mi rację. Jej braku fonetycznego wykształcenia nie kompen-

sował nawet tyloletni pobyt na Łotwie. Słyszcy się to, na co się zwraca uwagę, a celem fonetycznego wykształcenia jest zaostrenie uwagi i rozszerzenie skali możliwych posłyszeń.

Edmont był wyjątkiem. Co prawda wyjątkiem stanowiącym wyjątkowo mocny atut w argumentacji Gilliérona. Ciekawa jest ocena zapisów Edmonta sformułowana przez tak wybitnego dialektologa jak Jaberg („Romania“, L, 1924, s. 282)¹. Oto, co pisze Jaberg: „Dokonałem zapisu w punkcie 969 A. L. F. (L'Etivaz) na podstawie kwestionariusza częściowo identycznego z kwestionariuszem Gilliérona. Porównując zapisy p. Edmonta z moimi w zakresie pewnej liczby wyrazów zawierających dyftong *ai* (...) stwierdzam różnice dość znaczne; mój zapis jest znacznie regularniejszy, ja notowałem prawie zawsze *ai* wewnątrz wyrazu, *ae* w wygłosie; p. Edmont zanotował kilkakrotnie *ae* wewnątrz wyrazu; monoftongiczne *e* występuje bardzo rzadko w moich materiałach, czasem zapisałem je najpierw, żeby je potem poprawić w drugiej odpowiedzi; występuje ono bardzo często w wygłosie w zapisach p. Edmonta. Kto ma rację: p. Edmont czy ja? Po odliczeniu tego, co może być dowolne w każdym zapisie fonetycznym, co może być następstwem zawodności naszego słuchu lub autosugestii (zapewne mocniejszej u mnie niż u p. Edmonta) wydaje mi się, że mogę stwierdzić, że obaj mamy rację: to, co podaje p. Edmont, to jest przypadkowa wymowa „parole“ może trochę przejaskrawiona, gdy tymczasem mój zapis, dzięki dłuższemu pobytowi w danej okolicy oraz dzięki poprawkom informatorów, które wywoływałem, zbliża się do fonetycznego ideału „langue“. Jestem prawie pewien, że gdyby się poprosiło mówiącego gwarą o jej zapisanie, to on nie wahałby się ani chwili w oznaczaniu wszędzie omawianej głoski tym samym znakiem (prawdopodobnie *ai*) w wyrazach, w których ja ją zapisywałem jako *ai* lub *ae*, nie zdając sobie sprawy z różnicy zanotowanej przeze mnie zdecydowanie zaprzeczając monoftongicznemu *e* p. Edmonta, którego autentyczności ja w żadnym razie nie kwestionuję“.

W tym sporze między wybitnym dialektologiem opierającym się na pewnego typu podbudowie teoretycznej a pracownikiem stawiającym sobie jako jedyny cel fonetyczną wierność zapisu trudno nie przyznać racji temu właśnie pracownikowi. Jest rzeczą technicznie niemożliwą zapisywać tekst fonetyczny i jednocześnie dokonywać psychologicznej interpretacji słyszanych głosek i ich odmian, ustalać, która jest wariantem fonemu. Oczywiście tego skrótowego sformułowania można użyć tylko wtedy, gdy się rozumie przez fonem głoskę w jakikolwiek sposób funkcjonalnie ważną, a nie wyobrażenie głoski przeciwstawiane każdorazowej realizacji; z tej opozycji, na którą początkowo Trubeckoj kładł nacisk, potem sami fonologowie zrezygnowali (co zauważył między innymi po-

¹ cytuję za Popem (l. c.).

stronny obserwator Twaddell w swym artykule „On defining the phoneme“).

W konkretnym wypadku, o którym pisze Jaberg, chodzi o to, że on w swoich zapisach znormalizował jako dyftong *ai* głoskę, którą Edmont słyszał niekiedy jako monoftongiczne *e*. Dokładności tych posłyszeń Jaberg nie kwestionuje, twierdzi jednak, że tego monoftongicznego *e* można w zapisie nie uwzględniać, bo dla samych mówiących głoską reprezentatywną jest *ai* a monoftongiczne *e* — tylko przygodnym jej wariantem. Tak stawiając sprawę wchodzi się na trzęsawiska psychologizmu. To, jakie tkwią w psychice mówiących wyobrażenia głoskowe, jest rzeczą nieuchwytną i niesprawdzalną. Oceniać, co w materiale fonetycznym języka jest ważne, a co nieważne, można nie na podstawie domysłów co do stosunku elementów fonetycznych do tak zwanych psychicznych odpowiedników tych elementów, ale wyłącznie na podstawie obserwacji tego, jakie funkcje mogą dane elementy pełnić albo też, czy je w ogóle pełnią w wyrazach i w formach wyrazowych.

Jeżeli Edmont w mowie swego informatora słyszał czasem dyftong *ai* a czasem monoftongiczne *e*, to nie mógł zrobić nic innego jak tylko zanotować każde posłyszenie z taką dokładnością fonetyczną, na jaką go było stać. Normalizować tekst można najwyżej po ukończeniu zapisu, po zbadaniu tekstu i zorientowaniu się we wzajemnym stosunku poszczególnych głosek pod względem funkcjonalnym. Gdyby się okazało, że oboczność *ai* // *e* jest funkcjonalnie obojętna, to wówczas można jakoś *e* zignorować. Dlaczego jednak nie miałyby być interesujące spostrzeżenie, które można zrobić na podstawie zapisu Edmonta, że dyftong *ai* w omawianej gwarze albo nawet tylko w mowie danego informatora — wykazuje pewną skłonność do monoftongizacji? Jest to konkretny szczegół fonetyczny może będący zapowiedzią jakichś rozleglejszych przeobrażeń.

Przeciwnikiem zbyt drobiazgowej precyzyjności fonetycznej zapisów dialektologicznych był Bruneau. Stanowisko swoje uzasadniał w sposób następujący (w „Etude phonétique des patois d'Ardenne“ — Paryż, 1913): „fakty językowe są faktami społecznymi: podlegają one naszej woli, która jest chwiejna. Nasze narządy nie są sztywne, wyrażają one dźwięki identyczne za pomocą sposobów różnych i dźwięki różne za pomocą sposobów artykulacyjnych zbliżonych (...) nie mówię dokładnie tak samo jak mówiłem wczoraj, nie mówię dokładnie tak samo, jak mój sąsiad. Zależnie od mego usposobienia, od mego rozmówcy moja wymowa, moja artykulacja ulegają modyfikacjom.“ Stąd wysnuwa autor wniosek, że wobec niemożliwości uwzględniania w pisowni fonetycznej wszystkich najdelikatniejszych odcieni głosek należy poprzestać na pisowni przybliżonej. Przesadna skrupulatność w fonetycznym notowaniu dźwięków wydaje się autorowi antynaukową z powodów, które formułuje w sposób nastę-

pujący: „między wyrazem, który wymawia nasz informator a wyrazem, który wyzyskujemy w naszych rozważaniach, dokonywa się dwukrotna praca uogólniająca; przyjmujemy, bezpodstawnie, że forma pojedyncza (unique) jest formą zwykłą i że forma indywidualna jest formą ogólną“.

Zachodzi tu wyraźne i charakterystyczne nieporozumienie. Autor uważa widocznie, że skrupulatność fonetyczna zapisującego może polegać tylko na tym, żeby jak najdokładniej zapisywać brzmienie jakiegoś wyrazu posłyszanego, uwzględniając szczegóły wymowy i że taki jednokrotnie dokonany zapis wyrazu potem staje się podstawą uogólnień. Kto by tak postępował, ten oczywiście opierałby wszelkie swoje wnioski na nieporozumieniu. Nie można nigdy być pewnym, czy jakiś posłyszany w toku mowy sposób wymówienia pewnego wyrazu jest reprezentatywny dla danej jednostki mówiącej, a tym bardziej dla całego jej środowiska. Nie wszelkie jakości głosek są stałymi cechami wyrazów: dziedzina chwiejności fonetycznych podprogowych, nie zakłócających doraźnie procesu porozumiewania się językowego, to znaczy nie pozbawiających wyrazów ich zrozumiałości, jest bardzo rozległa. Istnieją normy społeczne, środowiskowe, ale te normy nie są nieruchome i historycznie się zmieniają. Gdyby się zasadniczo rezygnowało z rejestrowania odchyłeń od tego, co w pewnej chwili i w pewnym środowisku jest normą, to nie byłoby mowy o badaniu historii przeobrażeń i kształtowania się norm zarówno w dziedzinie fonetyki jak w każdej innej dziedzinie życia języka. Wśród znormalizowanych zwrotów dzisiejszej składni literackiego języka polskiego nie ma zwrotu „odpowiedzieć z czymś“, można tylko odpowiedzieć komuś albo czymś, albo na coś. Jeżeli jednak badacz składni polskiej posłyszeli w sklepie skierowane do sprzedawcy przez kogoś, kto już raz pytał o bułki, zniecierpliwione zdanie: „panie, nie odpowiedział pan z tymi bułkami“, to chyba to zdanie sobie zapisze. Interpretować będzie później, może dojdzie do wniosku, że wyrażenie „z tymi bułkami“ jest skrótem zdania „co jest z tymi bułkami?“, albo wytłumaczy je sobie jakoś inaczej, w każdym razie materiałem do rozważań będzie dla niego autentyczne posłyszane wyrażenie.

Jakiż miałyby sens badanie składni gwar, gdyby zapisujący materiał zamiast posłyszanych odchyłeń od znanych mu norm składniowych przedstawiał wyrażenia znormalizowane, więc gdyby owo zacytowane zdanie zapisał w formie: „nie odpowiedział pan, co jest z tymi bułkami“, albo sprowokował mówiącego do powtórzenia zdania w innej formie niż ta, w której zostało ono wypowiedziane po raz pierwszy, i to dopiero by zapisał. Nie usprawiedliwiłoby zapisującego, gdyby dokonywał zmian w toku zapisu, nawet podstawianie zamiast wyrażeń posłyszanych tego, co wydawałoby mu się zgodne z normą nie jego własną, ale panującą według niego w danej gwarze. Szukanie tych norm środowiskowych to

cura posterior. To samo się odnosi do fonetyki. Zapisujący tekst gwarowy musi zapisywać dźwięki, nie *a priori* nie normalizując i nie ulegając jeszcze z epoki młodogramatyków wywodzącemu się złudzeniu, że każdy wariant głoski jest jednocześnie wariantem postaci wyrazu — któremu to złudzeniu ulegał jak gdyby Bruneau.

Piękną ilustrację wewnętrznego spoistości poglądów i koordynacji teorii z techniką pracy są prace jednego z najwybitniejszych dialektologów, redaktora „Glossaire des patois de la Suisse romande“, Louis Gauchat (zmarłego w r. 1942). Dialekt interesował go wszechstronnie. Badaniu dialektów zakreślał on cele ogólnojęzykoznawcze jako zagadnienie centralne traktując zagadnienie „udziału jednostki w rozwoju mowy ludzkiej“ i tego „w jakim stopniu język jednostki podporządkowuje się językowi międzyjednostkowemu“.

Gauchat zwracał uwagę na to, że „dystynkcje logiczne są bardziej nikłe w gwarze niż w językach literackich, wyrazy konkurujące ze sobą (*les mots rivaux*) współistnieją w mózgu i zjawiają się kolejno albo z pewną tylko przewagą jednego nad drugim (*l'un plutôt que l'autre*)“.

Ten niezmiernie ważny fakt — przypomnijmy, że za punkt wyjścia całej swej doktryny filozoficzno-socjologicznej przyjął był w swoim czasie Dürkheim zagadnienie pamięci, a w szczególności zagadnienie lokalizacji wyobrażeń pamięciowych w komórkach mózgu — który w tych słowach sygnalizuje Gauchat, można czynić przedmiotem badania nie tylko w zakresie badań leksykalnych: w pamięci jednostek mówiących żyją z niejednakową siłą nie tylko wyrazy jako nosiciele pewnych treści, ale i wyrazy jako zbiorniki potencjalnej energii artykulacyjnej wyładowującej się w wymówieniach. W gwarze współistnieją nie tylko konkurujące ze sobą wyrazy, ale i oboczne sposoby wymawiania fonetycznych składników wyrazów, czyli tak zwanych głosek. Te oboczności można obserwować tak samo jak oboczne używanie wyrazów — znaków desygnatów, czyli nosicieli treści znaczeniowych. Można je nie tylko obserwować, można je badać i mierzyć dążąc do określenia względnej wartości reprezentatywnej każdego wymówienia, a więc opatrywać typy wymowień współczynnikiem ilościowego nasilenia, który jest jednocześnie współczynnikiem aktualności danego typu wymowień, współczynnik zaś aktualności umiejscawia badany element na krzywej reprezentującej jego ewolucję historyczną. To właśnie stanowi założenie metody ilościowej, której stosowanie do badań fonetyki dialektów wydaje mi się słuszne, owocne i potwierdzone wynikami prac dra Friedricha, dra Tarnackiego (wymieniając tylko nie żyjących).

Gauchat stwierdza, że w zapisach dialektologicznych dokonanych przez tę samą osobę w pewnym odstępie czasowym okażą się różnice, bo „nigdy formy zanotowane w tym samym miejscu nie są całkowicie iden-

tyczne“, różnice zaś mogą się okazać tym większe, im ściślej zapisujący trzymał się „jedynej dobrej metody“ polegającej na tym, żeby „zapisywać każdą formę na podstawie bezpośredniego wrażenia akustycznego bez jakiegokolwiek retuszowania i bez jakiegokolwiek wstępnego opracowania fonetycznego (w postaci badania poprzednich zapisów z tej samej miejscowości lub w jej okolicy).“

„Ucho nie chwytą dźwięków bez pracy i bez zmęczenia tak jak zwierciadło odbija obraz — pisze Gauchat. Dobrze słyszymy obcy dźwięk wówczas tylko, gdy go umiemy odtworzyć.“ W zapisach dwu eksploratorów, choćby mieli takie samo przygotowanie naukowe i takie samo doświadczenie w zapisywaniu tekstów gwarowych okażą się różnice, bo każdy z nich słyszy przez swój indywidualny „filtr“ słuchowy. Jako motto rozdziału poświęconego omówieniu rozbieżności w zapisach zależnych od różnych osób zapisujących umieszcza Gauchat słowa Epicharmosa: „Rozum widzi i rozum słyszy. Wszystko inne jest głuche i ślepe.“²

Nie ulega wątpliwości dla Gauchat, że obok różnic w zapisach będących odbiciem różnych sposobów słyszenia dźwięków przez różnych eksploratorów są różnice, które się tłumaczą samym sposobem mówienia osób badanych. Wyraz niezmienny jest abstrakcją. W związku z notowaniem dyftongów pisze Gauchat: „narządy mowy przybierają kolejno cały szereg pozycji, których tylko punkt wyjścia i punkt końcowy zwykliśmy postrzegać, a to jest w gruncie rzeczy niedokładne. Ale język opuścił już swoją pierwszą pozycję zanim uświadomiliśmy ją sobie i zakończył swój ruch, gdy my usiłujemy dopiero ustalić jego moment początkowy. Zresztą te punkty krańcowe są bynajmniej nie zawsze identyczne, a gdy wywołujemy powtórzenie wyrazu, to wypada już nie to samo.“

Gilliéron twierdził, że zapisujący gwarę słyszy nie to, co jest istotnie wymawiane, ale to, co mu się wydaje, że słyszy (ce qu'il croit entendre). Zarówno Gilliéron jak i Gauchat kładli nacisk na to, że jedyną właściwą metodą zapisywania jest metoda polegająca na uczciwym i możliwie dokładnym notowaniu tego, co się słyszy bez żadnego normalizowania i retuszowania.

Posłyszenie jest *ex definitione* czymś subiektywnym, bo polega na reakcji czyjegoś aparatu słuchowego na bodziec zewnętrzny. Sformułowanie Gilliérona, że każdy słyszy to, co mu się wydaje, że słyszy, jest trochę nieporadne. W każdym akcie posłyszenia jest jakiś element *rozpoznania*, częściowego przynajmniej utożsamienia danego wrażenia z ja-

² Te same słowa chciałem pierwotnie umieścić jako motto swojej pracy pt. „Kategorie słowotwórcze“. Zacytowałem je w odsyłaczu. Jest to ilustracja tego, jak mogą się zbiegać we wspólnym ognisku uogólniające refleksje z zakresu fonetyki i z zakresu słowotwórstwa i semantyki. Tu i tam zagadnienie centralne: stosunku jednostki do obiektywnej rzeczywistości jest to samo.

kimś wrażeniem poprzednim. Lenin widział więź łączącą świat nieorganiczny z organicznym w stopniowości przejścia od mechanicznej reakcji ciał martwych przez doznanie do odbijającego rzeczywistość poznania. Żadna reakcja jednostkowego organizmu na bodźce zewnętrzne nie jest aktem odbicia mechanicznego, każda jest w jakimś stopniu aktem żywej *interpretującej* orientacji w zjawiskach. Dlatego między innymi może się i do fonetyki odnosić cytowana przez Gauchat myśl Epicharmosa.

Co do posłyszeń to można szukać obiektywnych sprawdzianów ich ścisłości: takim sprawdzianem może być zdolność określenia układu ruchów artykulacyjnych języka, a także zdolność reprodukcji słyszanych dźwięków. Tę ostatnią nie zawsze można osiągnąć.

Dyspozycje słuchowe pewnych jednostek są mniej więcej tak stałe jak ich temperamenty. Zapisane posłyszenia w najgorszym wypadku mogłyby być traktowane jako dokumenty ludzkie zapisującego: jeżeli analiza tych dokumentów wykazuje jakiś ład, to należy chyba przyjąć, że przyczyna tego ładu tkwi nie tylko w charakterze reakcji zapisującego na bodźce słuchowe, ale i w charakterze samych tych bodźców. Porównywałem swoje zapisy z zapisami dra Friedricha: różniliśmy się trochę w sposobie słyszenia samogłosek ścieśnionych, ale obraz ogólny wypadł podobnie.

Oczywiście poprzestanie na mniej dokładnej pisowni fonetycznej (słusznie nawiasem mówiąc, Friedrich kwestionował właściwość wyrażenia transkrypcja fonetyczna, bo *transkrypcja* to prawie tyle co *przepisywanie*, a nie pisanie ze słuchu) mogłoby zmniejszyć szanse rozbieżności, ale warte są w tym związku przypomnienia cytowane przez Popa słowa Gauchat: „byłoby łatwo znacznie zmniejszyć liczbę rozbieżności między nami wybierając pisownię mniej subtelną i wspólnie rozważając istotę dźwięków w miarę ich napotykania w pracy. Ale takie ujednostajnienie byłoby czysto konwencjonalne i sztuczne (...). Sądzę (...), że nauka, która się stała całkowicie biologiczną po zbyt długim okresie systemowości (*après être restée trop longtemps systématique*; ostatni wyraz ma w języku francuskim odcień ujemny) nic by nie zyskiwała na takim niwelowaniu i wygładzaniu trudności. W jej oczywistym interesie leży to, żeby zagadnienia się zarysowywały z całą wyrazistością i w całej swojej złożoności. Przedstawiać zjawiska natury tak jak je widzi umysł szczery i wolny od umowności, takie jest dziś jedyne zadanie godne właściwie pojętej nauki.“

Warto zacytować jeszcze jedną wypowiedź Gauchat o treści ogólnej. Porównując różnice, które można dostrzec w tekstach zapisanych przez dwóch eksploratorów od tej samej osoby z różnicami w obrazach wzorowanych na tym samym modelu z natury przez dwóch malarzy pisze Gauchat: „dwaj malarze tym się różnią od dwóch językoznawców, że pragną

w dzieło włożyć siebie (y mettre du leur) gdy tymczasem językoznawcy usiłują (prétendent) abstrahować od samych siebie i osiągnąć czystą prawdę“.

Dążność do eliminowania subiektywności powinna się wyrażać przede wszystkim w tym, żeby w trakcie dokonywania zapisu starać się sły-
szyć jak najlepiej i zapisywać jak najwierniej to, co się słyszy, a nie psychologiczne koniektury na temat słyszanych dźwięków.

Praca Gauchat i sposoby stawiania przez niego zagadnień są piękną ilustracją rozrastania się problematyki dialektologii, a zarazem miarą dystansu przebytego przez nią od czasów sentymentalnego zbieractwa i jej protagonistów typu Nodier lub Schnakenburga.

W związku z tym, co mówi Gauchat o „biologiczności językoznawstwa“ w przeciwstawieniu do jego dawniejszej „systemowości“, łatwo nasunąć się może uwaga, że w kategoriach pojęć biologicznych nie mieści się cały język, ponieważ jest on przede wszystkim działaniem społeczno-komunikacyjnym. Rzecz wymaga wyjaśnienia.

Stwierdziliśmy już, że o losach dialektów i języków rozstrzygają czynniki natury zewnętrznej, w bardzo rozległym zakresie politycznej. A przecież słuszny nacisk kładzie Stalin na konieczność poznawania wewnętrznych praw rozwoju języków, bez których językoznawstwo nie miałoby swego naukowego przedmiotu. Tym przedmiotem nie jest na pewno idealna „langue“, są nim *homines loquentes* (bo *homo sapiens* to *homo loquens*) — a poznawanie *hominis loquentis* w bezpośrednim doświadczeniu stanowi istotę dialektologii i tego, co można w językoznawstwie uważać za dialektologiczną metodę badania.

Badanie fonetyki dialektów stawia nas często przed pytaniem: w jakim stopniu daje się dostrzec w dialekcie jakaś wewnętrzno-fizjologiczna konsekwencja, jakiś układ cech fonetycznych powiązanych ze sobą artykułacyjnymi współzależnościami i tym współzależnościami zawdzięczający swoją trwałość w danym środowisku? Pierwszym warunkiem takiej możliwości byłby zwarty i izolowany od postronnych oddziaływań charakter środowiska, ale takich zamkniętych środowisk nie ma. Gdybyśmy chcieli wykreślać granice dialektów według granic tego, co można zrozumieć jako zamknięte systemy rządzone immanentnie fizjologicznymi prawami, gonilibyśmy za mirażem. Przez immanentnie fizjologiczne prawa rozumiemy prawa, które by rządziły jednostkowymi organizmami psychofizycznymi niejako od wewnątrz, to znaczy prawa, które by zależały od jakichś stałych, przekazywanych dziedzicznie przez jednostki jednostkom „genów“ językowych. W kręgu takich pojęć obracały się koncepcje van Ginnekena. Są to nieporozumienia, które najskuteczniej rozwiewa dialektologia. Inwazja elementów środowiskowych do sfery wewnętrznego życia każdego jednostkowego organizmu jest nieustająca i przenika

całość struktury organizmu, w działaniu tych elementów nie można wyizolować składnika czysto fizjologicznego nie zabarwionego społecznie.

Pawłow dokonywał swych eksperymentów nad psami sztucznie izolując je od otoczenia, aby uzyskać możliwość badania reakcyj na bodźce wyselekcjonowane, ale nigdy nie traktował żywego organizmu inaczej jak tylko jako system dynamicznie równoważący się z nieustannie działającym na niego za pośrednictwem bodźców środowiskiem. Takim systemem jest każda żywa jednostka. Działające na nią bodźce środowiska działają w sposób złożony i wywołują złożoną reakcję. Ten sam aparat słuchowy reaguje na dźwięki mowy co i na wszelkie inne dźwięki, słyszenie dźwięków mowy jest jednym z wypadków słyszenia w ogóle. Dlatego też jest zrozumiałe dążenie do zbadania budowy aparatu słuchowego i poznania wszelkich jego funkcji od strony ogólnie fizjologicznej, bo to pozwala lepiej rozumieć szczegółową funkcję słyszenia mowy. Tu się otwiera jedna z dziedzin pracy fonetyki eksperymentalnej. Fakt, że ten sam narząd zmysłowy pełni funkcję słyszenia mowy i słyszenia wszelkich innych dźwięków jest takim samym naturalnym objawem syntetyczności organizmu ludzkiego jak to, że nie ma w tym organizmie narządów przeznaczonych wyłącznie do funkcji mownej, bo służą one jednocześnie do najistotniejszych funkcji żywej istoty, mianowicie do oddychania i spożywania pokarmów. Jak stwierdził już Siczewski: „Związek jednostkowego organizmu ze środowiskiem jest tak ścisły, że nawet z definicji tego jednostkowego organizmu nie można wyeliminować elementów środowiska.“ Po tych samych szlakach nerwowych przebiegają pobudzenia idące od bodźców najrozmaitszych. Specjalizacja funkcji, którą obserwujemy tak często w historii form językowych, zapewne dokonywa się historycznie i w samych ośrodkach wyższego systemu nerwowego. Jest to proces niezmiernie złożony.

(d. n.)

Witold Doroszewski

Z TRADYCJI JEZYKOZNAWCZYCH POLSKIEGO OŚWIECENIA

I

O pracy Kopczyńskiego nad językiem, nad gramatyką oraz o jego poglądach na język, rolę gramatyki w języku i na metodykę nauczania gramatyki — mało dotąd mamy wiadomości. Nie wiemy również o trudnościach, z jakimi się borykał w czasie długoletniej pracy nad tymi zagadnieniami, jak również nie wiadomo nam, jakie wytyczał cele swej pracy. Oceniając dzisiaj jego wiekopomne dzieło zdajemy sobie sprawę, że wyrosło ono na podłożu Oświecenia i że Kopczyński w swych poglądach

językoznawczych był pod wpływem koncepcji racjonalistycznych. Ale to w niczym nie pomniejsza wartości tego dzieła i wielkiego wkładu, jakim się ono stało w ogólnym dorobku kultury narodowej. Zarówno bowiem współcześni Kopczyńskiemu jak i potomni należycie ocenili ten wkład. Współcześni przez usta Stanisława Potockiego, Naczelnego Ministra Oświecenia Krajowego, Prezesa Senatu Królestwa Polskiego, który „będąc sprawcą i tłumaczem powszechnego szacunku dla Kopczyńskiego, oddawał mu w dniu 30 listopada 1816 roku Medal złoty imieniem Towarzystwa z najświetlejszych ludzi złożonego“. Wyrazem sądu potomnych może być ocena, którą sformułował T. Lehr-Spławiński:

„Podręczniki ks. Kopczyńskiego przyczyniły się dużo do poznania budowy języka — szczególnie w zakresie form gramatycznych — i do rozbudzenia miłości mowy ojczystej w szerokich kołach społeczeństwa, co przyniosło (...) skutki dla kultury narodowej“.¹

Kopczyński odbierając medal z rąk Potockiego „w dniu tym dla siebie chlubnym“, jak głosi odezwa Drukarni pijarskiej do Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z r. 1817 wyrzekł między innymi te słowa:

„(...) wysłęczałem nową języka polskiego gramatykę, odłączoną od łaciny, skróconą wprawdzie, ale zwiększoną nowymi spostrzeżeniami (...) Kilka już lat spoczywa i dojrzewa to dziełko (...) ale literatów burza nie pozwala nowej tej gramatyce ruszać się z portu: może po moim utonieniu w wieczności na spokojniejsze puści się fale...“

Ta właśnie gramatyka wyszła z druku w roku 1817 po śmierci autora² „w niczym od myśli autora nie odstępująca... Jest ona zbiorem spostrzeżeń, uwag i prawideł wyciągniętych z natury języka narodowego, z dzieł uczonych rodaków i z własnego, bo pięćdziesięcioletniego rozważania“.

Kopczyński dobrze zdawał sobie sprawę z ogromu zadań, jakich się podjął. Wiedział, że w swojej gramatyce musi podporządkować cały dotychczasowy system gramatyczny naszego języka i jak się wyrażał „zrobić pewny porządek czyli system naszego języka“³. Toteż tak formułuje swój pogląd na to zagadnienie:

„Ci, co za drobną rzecz mają gramatykę, niechaj tu z herkulesowymi staną siłami, a nieraz im się przyjdzie zapocić. Mnóstwo wyrazów naukowych, niby klawiszów muzycznych, tysiące wyobrażeń umysłowych tających się

¹ Szkice z dziejów rozwoju i kultury języka polskiego, Warszawa, 1938 r., str. 156.

² Gramatyka języka polskiego przez Onufrego Kopczyńskiego, pijara. Dzieło pozgonne. W Warszawie 1817 r.

³ tamże str. 34.

w tych wyrazach, setne kombinacje rozumowania, a dopieroż tajemne zakątki zwyczajów mówienia naszego, potrafią zmordować najtęższą głowę. Ale my się tego wszystkiego nie lękamy: miłość ojczystego języka przełamie wszystkie trudności, mianowicie kiedy dobrze wszystkiego uporządkowanie będziemy mieli za przewodnika.“

Ale znacznie więcej światła na pracę i poglądy Kopczyńskiego rzuca nam bezimiennie w r. 1785 wydane dziełko pt. „Układ gramatyki dla szkół narodowych“⁴. Autorem dziełka jest Kopczyński i ze wstępu do „Układu“ dowiadujemy się, że celem tej książeczki było zdanie rachunku z dziesięcioletniej pracy nad Gramatyką dla szkół narodowych. Dwoma tu kierował się pobudkami Kopczyński. Jedna miała „przydłużyć dzieło ułatwić (...) tym, którzy je czytali, jak do zrozumienia tym, którzy je dopiero czytać mają“. Druga — „aby ci, którzy samego dzieła czytać nie mogą (...) widzieli je niby w krótkiej abrysie wystawione“⁵.

Napisanie gramatyki poprzedziły wielostronne studia. Przed wszystkim chciał Kopczyński skonfrontować swoje wiadomości językoznawcze z istniejącym ówczesnie stanem nauki. Ucząc przez lat szesnaście wymowy sądził, że „zagładziły się w pamięci“ jego wspomnienia wiadomości gramatycznych. Toteż przede wszystkim zaczął „czytać gramatyki różnych wieków i różnych krajów“. Ale ta praca „pospolicie nudna“ nie wniosła mu właściwie nic nowego. Przekonał się bowiem wkrótce, że zarówno jego własne poglądy jak i te, z którymi się zapoznawał były „ciemne i niedostateczne“, a co najważniejsze „do uczniów mało co stosowane“. Toteż w pracy tej nie osiągnął zamierzonego celu. Spostrzegł wkrótce, że trudniej jest walczyć z własnymi i cudzymi przesądami, aniżeli nie znając żadnej gramatyki oprzeć się na obserwacji języka współczesnego i jego logice i „to tylko, co by się prawdziwego i gruntownego postrzegło, kłaść do nowej gramatyki“. Czytając jednak pisma filozoficzne o mowie ludzkiej, czytając Arystotelesa, Platona, Bakona, Kartezjusza, Locka, Kondylaka i innych, poznawał „wielkie światła na poznanie mowy ludzkiej i wielkie wady pospolitych gramatyk. Mając jednak na uwadze cel, jakim się kierował w swej pracy, a mianowicie napisanie polskiej gramatyki szkolnej, widział jasno w dziełach, które studiował, zarówno ich braki jak i niepotrzebne przerosty. Poza tym zdał sobie sprawę z tego, że metoda, jaką posługiwały się te dzieła była zawikłana, a przez to „dzieciom nieprzydatna“. To więc zmusiło go do myślenia zarówno o nowym układzie gramatyki jak również i o wynalezieniu innej metody. Nowy układ nie powstał jednak od razu, przemyśliwał nad nim Kopczyński „dwie lecie“, robił różne warianty układu, całość jednak mogła być do-

⁴ Układ gramatyki dla szkół narodowych z dzieła już skończonego wyciągniony w Warszawie 1785.

⁵ Tamże, str. 3.

piero ukończona po napisaniu całego dziełka. Dodatkowe trudności polegały na tym, że nie mając jeszcze całkowicie wykończonej całości, musiał gramatykę wydawać częściami, przynaglany do tego potrzebami szkoły. Trudności jednak piętrzyły się przed autorem i jak stwierdza „już rozpoczęte dzieło kilkakrotnie z rąk mi wytrącały“. Praca ta, jak się początkowo wydawało Kopczyńskiemu, na pozór jałowa, przyniosła mu wiele korzyści. Zmusiła go bowiem do wyrobienia sobie własnego poglądu na gramatykę i związek jej z życiem społecznym. Poglądy te streścił Kopczyński w 9 punktach. Na wstępie zastanawia się nad tym, co to jest gramatyka i stwierdza, że jest to nauka mowy, toteż trzeba umieć, ażeby można uczyć. Na pierwszy plan wysuwa obserwację języka, gdyż: nie napisze gramatyki ten,

„kto się długo i pilnie nie przypatrzył ze wszystkich stron, nie obaczył wszystkich części i własności rzeczy, jej początku, skutków i związku ze społecznością ludzką. Trzeba mi w ten sposób przypatrywać się mowie; żebym się jej nauczył, i drugim tę naukę opisał w gramatyce...“⁶

W dalszym ciągu zastanawia się nad tym, czym jest mowa. Dochodzi do stwierdzenia, że mowa jest obrazem, czyli znakiem myśli. A więc w mowie spostrzegamy dwa jej istotne elementy: słowa jako znaki oraz myśli jako rzeczy znaczone przez słowa. Stąd wniosek: „...kto chce poznać mowę, powinien uważać i słowa, i ich znaczenie, inaczej poznanie jego nie będzie zupełne...“.

Společną rolę języka określa Kopczyński następująco: „jak słowa tak i myśli mają własności swoje, mają względy czyli stosunki tak do siebie wzajemne, jako do społeczności ludzkiej: te więc własności i względy, powinien będę uważać i zbierać w dzieło moje“, natomiast o funkcji komunikatywnej języka mówi: „Śródkiem do zrozumienia się wzajemnego, jest mowa: celem tedy uwag gramatycznych nad mową, jest zrozumiałość mowy“. W ostatnim zaś punkcie mówi o tradycji narodowej: „Mowa jest obrazem myśli, według krajowego zwyczaju: gramatyka tedy zasada się na zwyczaju narodowym i na naturze myśli ludzkiej. Trzeba mi odkryć dwie te przyrodzone gramatyki zasady, żeby moje uwagi nad mową były prawdziwe i gruntowne“.

Po tych uwagach wstępnych przechodzi Kopczyński z kolei do określenia pojęcia gramatyki szkolnej, jak ją nazywa „dziecinnej“. Stwierdza potrzebę istnienia dwóch podręczników gramatyki: podręcznika dla ucznia i podręcznika dla nauczyciela. Różnić będzie te podręczniki zarówno zakres materiału gramatycznego jak i metoda. Gramatykę *dziecinną* rozkłada Kopczyński w kursie trzyletnim: musi ona zawierać niezbędne wiadomości, krótko podane, i dostosować do wieku młodzieży, które dopomogą

⁶ Układ, 10.

do poznania systemu gramatycznego języka ojczystego. Gramatyka dla nauczyciela, którą nazywa *nauczycielską*, będzie obszerniejsza i gruntowniejsza oraz zawierać będzie uwagi metodyczne dotyczące zarówno samej gramatyki jak i tych nauk, a mianowicie logiki i retoryki, do których uczniów przygotowuje gramatyka. Opierając się na swoim długoletnim doświadczeniu nauczycielskim Kopczyński ma ciągle na uwadze jedno: dla kogo pisze gramatykę. Pamiętając więc o swoim odbiorcy ma nadzieję, że gramatyka jego będzie dla dzieci łatwiejsza od starej. To doświadczenie dyktuje mu i wybór metody indukcyjnej: „Pójdę wszędzie ...od rzeczy wiadomych do niewiadomych, od przykładów do uwag nad nimi, od szczególnych rzeczy do powszechnych“.

Zdawał sobie sprawę Kopczyński i z tego, że gramatyka *nauczycielska* ze względu zarówno na obszerniejszy materiał jak również i wiele nowych poglądów będzie znacznie trudniejsza od dawnej, ale zastrzega się, że „jaśnie jednak i porządnie wyłożona“. Tym podręcznikiem miało być prawdopodobnie wydanie pozgonne. Trudności tej gramatyki wylicza Kopczyński w następujących czterech punktach:

- „*naprzód*, że zamykać będzie wiele nowych wiadomości, z logiką i retoryką związanych, jako to: o prawdziwych zasadach gramatyki, to jest zwyczaju narodowym i o naturze mowy ludzkiej; o wewnętrzności mowy czyli znaczeniu słów; przyczyny logiczne powierzchownych odmian w słowach; postaci gramatyczne figurami i tropami zwane, nowym wcale układem wystawione; naukę prawdziwej etymologii czyli zródłosłowu; naukę tłumaczenia i powierzchownej poezji;
- powtórę* związek wszystkich uwag gramatycznych, tak między sobą, jako z towarzystwem ludzkim i związek gramatyki z innymi naukami;
- po trzecie* nowy wcale porządek uwag gramatycznych;
- po czwarte* przeciwność w wielu rzeczach nowej ze starą gramatyką“.

Wybór metody indukcyjnej jest złamaniem zastarzałych poglądów na nauczanie gramatyki w szkole. Kopczyński widzi dwie metody: jedną przez reguły, drugą przez używanie języka, to znaczy przez słuchanie, czytanie i naśladowanie mowy. Wybiera tę drugą, gdyż jak stwierdza „gramatyka ułatwia i gruntuje uczenie się języków, ale ściśle mówiąc, sama ich nie uczy“. Toteż punktem wyjścia dla niego jest obserwacja zjawisk żywej mowy, która pozwoli pokazać potem „zwyczaj narodu“.

Długie wywody poświęca Kopczyński stosunkowi języka łacińskiego do języka ojczystego w szkołach narodowych. Nauka języka ojczystego winna iść przed nauką języka obcego, gdyż „rozumienie obcego języka najłatwiej się nabywa przez porównanie go z ojczystym“. Następuje tu ogólna uwaga metodyczna dotycząca nauczania języków obcych. Kopczyński wypowiada pogląd, że „cała sztuka uczenia się w szkole obcych języków (...) zawisła jedynie od takowego porównania. Na ten kształt wszystkie gramatyki obcych języków i mogą, i powinny być robione. Gdyby była

gramatyka polska osobna, nie robiłbym tylko łacińską, to jest przypominając dzieciom uwagi nad polszczyzną, stosowałbym je do przykładów łacińskich“⁷.

Potrzebę napisania *gramatyki narodowej* uzasadnia Kopczyński nie tylko względami narodowymi, ale i społecznymi. Gramatyka według niego jest kluczem wszystkich nauk, a więc: „Nie poznanym dobrze językiem nie można narodowi dawać nauk ani naród cały może inaczej przyjmować nauki, tylko w ojczystym języku pisane... Niedostatek ojczystej gramatyki ciągnął za sobą niedostatek nauk w ojczystym języku... Szacunek tedy języka polskiego, uchronienie się błędów w mówieniu i pisaniu, bogacenie i doskonalenie ojczystej mowy, wprowadzenie wszystkich nauk w cały naród, łatwe i prędkie uczenie się obcych języków, przeświadczenia kochającego Ojczyznę Polaka o potrzebie *narodowej gramatyki*“⁸.

Dużo kłopotu przysparzała Kopczyńskiemu sprawa terminologii gramatycznej. Kilka pojęć terminologicznych czerpie od gramatyków polskich, ale to przecież w żadnym razie nie wystarcza. Toteż spostrzega, że ma dwie drogi do wyboru: „albo używać w piśmie polskim wyrazów cudzoziemskich, albo nowe wcale tworzyć“. Przewiduje Kopczyński burzę, jaka się rozpęta z tego powodu, ale i tym zakorzenionym przesądom postanawia zwycięsko stawić czoło. Popiera swoje stanowisko kilkoma argumentami: że nowe wyrazy z czasem się utrą i zestarzeją, bo przecież wszystkie wyrazy musiały kiedyś być nowe, że jest to najbardziej odpowiedni moment do wprowadzenia polskiej terminologii gramatycznej, bowiem „dla całego Narodu, z rozkazu Krajowego Urzędu się pisze“, wreszcie ostatni argument czysto praktyczny, że dzieciom łatwiej się nauczyć terminologii polskiej, gdyż „rozumienie i spamiętanie bliżej się łączy z ojczystymi niż z obcymi słowami“. Stanowisko Kopczyńskiego nie odznacza się przesadnym puryzmem, gdyż chce zostawić kilka starych terminów cudzoziemskich, których spolszczenie pozostawia przyszłości: „za które niechaj następne czasy znajdą nowe“.

Stosunek gramatyki do języka określa Kopczyński w bardzo prosty i jasny sposób. Gramatyka jest zbiorem reguł uogólniających prawdy istniejące w języku, bo „reguły są rzeczą *umysłową* i powszechną“. Stąd wynika metoda, jaka narzuca się w takim ujęciu, gdyż punktem wyjścia dla nauczania muszą być nie reguły, lecz żywy język. „Nie od reguł tedy, ale od przykładów poczynąć gramatykę umyśliłem i iść wszędzie porządkiem *rozbiorowym*, czyli *analitycznym*“. Argumentacja znowu prosta: „Wszelkie poznanie rzeczy zaczyna się od zmysłów (...) przykłady języka są rzeczą zmysłową...“. Ale sama gramatyka nie jest wedle Kopczyńskiego językiem. Gramatyka w zestawieniu ze słownikiem tworzy język, gdyż

⁷ Układ, 17.

⁸ Układ, 23.

„słownik narodowy jest zasadą narodowej gramatyki“. Różnicę zaś między słownikiem a gramatyką Kopczyński wyraża w następujący sposób:

„Między słownikiem a gramatyką ta jest prawdziwa różnica, że w słowniku są wszystkie wyrazy szczególne, a przy każdym z osobna wyrazie są szczególne jego własności. Własności te szczególnym wyrazom pospolite do ogólnych lub powszechnych utwag czyli prawideł ściągione składają gramatykę. Bez dobrego słownika zrobić nie można dobrej gramatyki. Gdyby był dobry słownik narodowy, gramatyka byłaby dziełem bardzo krótkim i łatwym. Dobra gramatyka jest światłem i pomocą do zrobienia doskonałego słownika.“⁹

Stojąc na tym stanowisku, że bez dobrego słownika nie można napisać dobrej gramatyki, Kopczyński podjął się i wykonał pracę, a mianowicie ułożył w kilku tysiącach tablic słownik języka polskiego, o którym niestety nic bliższego, poza skąpymi wyjaśnieniami samego autora, nie wiemy. Układ tego pierwszego słownika języka polskiego był następujący:

„musiałem wprzód czynić zbiór słownikowy i rozłożyć go na kilka tysięcy tablic szykując słowa wszystkie, nie porządkiem pierwszych liter, ale porządkiem zakończenia; dalej uważać każde słowo pod dwudziestą dwiema względami, a to dla poznania własności każdego wyrazu; które to wszystkie własności, przy każdym szczególnym wyrazie w osobnym kratkach wpisywał. Porównywałem wyraz z wyrazem co do względów czyli własności jego; doszedłem z podobności względów owego podziału mowy na ośm części; przeto też tablice wszystkie porządkiem ośmiu części mowy szykowałem i przepisać kazałem z przydanymi w pobocznych kratkach własnościami każdego wyrazu. Była to praca i długa, i arcyudna, a przeto od nikogo podobno w żadnym języku nie podjęta. Mnie się jednak zdała być koniecznie potrzebną dla poznania całego języka, dla docieczenia wszystkich własności jego i dla upewnienia się o nieomyślnej prawdzie reguł gramatycznych. Rozmieszczone na sznurach tablice wszystkich słów polskich z przydanymi każdego osobnego szeregu znaczkami pokazały mi, jak w widocznym obrazie, całą języka polskiego ośnowę. Nic tu wkorzenione z dzieciństwa przesady, nic powaga czyjakołwiek, nie miały mocy ani prawa na przepisywanie reguł ojczyściego języka. Sam przez się język porządnie i jasno na tablice rozłożony, a pilnie uważany, odkrywał całą naturę swoją...“¹⁰

Słownik ten składający się z kilku tysięcy tablic oprawny był w kilka tomów i złożony w Bibliotece Rzeczypospolitej (dawnej Załuskich). Wydaje się rzeczą prawdopodobną, że Linde w jakiś sposób korzystał z tego słownika. Jeżeli nawet nie przeglądał go w Bibliotece Rzplitej, to bez wątplenia musiał znać materiały, jakie pozostawił u siebie Kop-

⁹ Układ, 29.

¹⁰ Układ, 30.

czyński po ofiarowaniu rękopisu. W tym oświetleniu praca Lindego nad słownikiem wygląda już nieco inaczej¹¹.

Takie to prace wstępne podjął Kopczyński przed napisaniem *gramatyki narodowej*. Odrzucając schematyzm arystotelesowski Kopczyński wyszedł od obserwacji żywego języka, a poznawszy go w historycznym rozwoju stworzył system gramatyki narodowej siłą rzeczy tak bardzo różniący się od systemów istniejących wbrew przesądom i ustalonym poglądom na istotę i rozwój języka.

(d. n.)

Bronisław Wieczorkiewicz

Z ZAGADNIEN LEKSYKOLOGII

SYNONIMIKA

(c. d.)

Podział według tożsamości lub podobieństwa przedmiotów na równoznaczniki i bliskoznaczniki (synonimy w ściślejszym sensie) nie daje kryteriów, na których podstawie można by z całą pewnością zaliczyć wyraz do jednej z grup synonimicznych, a przede wszystkim ustalić granice synonimicznej grupy wyrazowej, tzn. ustalić, czy wyraz może być uważany za synonim w stosunku do innych wyrazów tejże grupy i kiedy nim nie jest.

Nie mamy wątpliwości, że wyrazy takie jak *bagnisko, trzęsawisko, grzęzawisko; cieszyć się, ochocić się, weselić się, radować się; piękny, śliczny, uroczy, cudny; mały, drobny, mikroskopijny; osłaniać, ochraniać, bronić; drogi, kochany, umiłowany; żołnierz, żołdak; dziewczyna, dziewczka* są synonimami. Na podstawie dotychczas rozważanych kryteriów możemy synonimiczność ich uzasadnić.

Przy rozważaniu takich par wyrazów jak *kulturalny i kulturowy, sąsiedzki i sąsiedni*, które na ogół uważa się za synonimy, powstają wątpliwości, czy można je jako takie traktować. Sprawa ma charakter ogólniejszy. W języku potocznym i literackim mamy skłonności do wyróżniania cech łączących podobne przedmioty, pojęcia lub czynności i do językowego uwydatniania tych podobieństw czy pokrewieństw, a tym samym do synonimicznego ujmowania zjawisk. W naukach ścisłych staramy się wykryć w przedmiotach podobnych cechy różne i na ich podstawie identyfikować przedmioty, czyli określać je jednoznacznie. Doszukiwanie się cech wspólnych ma tylko na celu stworzenie pojęcia ogólnego, obejmującego całą klasę przedmiotów lub pojęć podobnych,

¹¹ Do tego zagadnienia powrócę w innym artykule.

niezbędnego do ich systematyzacji. Nienaukowiec, jeżeli rozróżnia przedmioty, to dlatego, że same mu się one jako różne narzucają. Wtedy nazywa je różnymi wyrazami. Jeżeli spostrzega cechy łączące, wspólne — to albo tworzy wyraz nowy bliskoznaczny (synonim) dlatego właśnie, że nie dostrzega cech różnych w przedmiotach, tylko przede wszystkim wspólne. Stąd płynie wymiennosc pojęć, a zatem i nazw, i naturalny charakter synonimów.

Przykładowo możemy to rozpatrzeć na pewnych pojęciach z zakresu zjawisk atmosferycznych. Wyrazem *wiatr* nazywamy zjawisko atmosferyczne, które występuje z różnym natężeniem i w różnej postaci. Za synonimy wiatru uważamy wszystkie jego odmiany: *huragan*, *orkan*, *cyklon*, *trąbę powietrzną*, *monsun*, *zefir*, *pasat*, *samum* itp. Podstawą połączenia tych wyrazów w grupę synonimiczną jest nadrzędne w stosunku do nich pojęcie „powietrza w ruchu“. Jest to cecha wspólna łącząca wszystkie rodzaje wiatrów. Między sobą podzielić je możemy na podstawie innej cechy wspólnej, ale różniącej, mianowicie na podstawie „siły“ wiatru, na wiatry silne (*huragan*, *orkan*, *cyklon* itd.) i słabe (*zefir*, *pasat*, *wietrzyk*). Przy takim podziale (ze względu na „siłę“ wiatru) wyrazy zaliczone do synonimów na podstawie innej cechy (ruchu powietrza) nie będą synonimami. *Zefir* nie jest synonimem *huraganu*, choć ironicznie możemy niekiedy *huragan* nazwać *zefirem* lub *zefirkciem*. Z podziałów tych widzimy, że jeżeli wyróżniamy cechy ogólne łączące (rodzajowe) zjawiska lub pojęcia, to włączamy je do synonimów. W naszych rodzajach wiatrów cechą łączącą wszystkie wiatry był »ruch powietrza«, wiatry gwałtowne łączyła wspólna cecha »siły«, »nawałności«, poprzez którą nie dostrzegamy różnic gatunkowych. W wiatrach słabych cechą wspólną była „słabość“, „łagodność“.

Jeżeli wyróżniamy wyraźne cechy szczegółowe różniące przedmioty lub zjawiska, to wyłączamy nazwy tych zjawisk z grup synonimicznych. Dlatego dla nas wiatry słabe i wiatry silne po ustaleniu ich „siły“ jako cechy różniącej przestały być synonimami. Meteorolog natomiast ustaliwszy termin ogólny *wiatr* wyróżnia różne jego gatunki i na podstawie różnic między nimi ściśle je nazywa bądź różnymi wyrazami, bądź różnicującymi określeniami. Toteż dla niego rodzaje wiatrów nie będą synonimami. Podobnie jak rodzaje chmur, opadów itp. zjawisk. Nauki ściśle dążą do jednoznaczności pojęć i terminów, a tym samym do likwidacji synonimów. Spotkać się w nich możemy jedynie z jednoznacznymi terminami oznaczającymi to samo pojęcie różnymi wyrazami, czyli z równoznacznikami, jak np. *wiatromierz* i *anemometr*, *absolutny* i *bezwzględny*, *postrzegać* i *percypować* itp.

Wspomniane wyżej pary wyrazów takie jak *kulturalny* i *kulturowy*, *sąsiedni* i *sąsiedzki* są tylko pozornymi synonimami, ponieważ możemy

ustalić między nimi wyraźne różnice znaczeniowe, tj. takie cechy różniące, które nie tylko nie pozwolą nam mylić ich ze sobą, ale i używać wymiennie. Wyrazy te łączy ze sobą cecha wyłącznie strukturalna. Oba są utworzone od podstawowego rzeczownika *kultura* i wskazują na jakiś z nią związek. *Kulturalny* jest wyrazem utartym, powszechnie używanym w różnych znaczeniach. *Wpływy, względy, stosunki kulturalne* (KK) — to bądź należące do kultury, bądź stanowiące jej składniki; *człowiek kulturalny* — to odznaczający się kulturą, niekiedy to tyle tylko co wykształcony. *Kulturowy* natomiast — to związany z określoną epoką kultury, do niej się odnoszący, tę określoną epokę kultury reprezentujący. Wyrazów tych używa się niekiedy wymiennie, np. *epoka, zabytek, ślady kulturalne* albo *kulturowe*, ale na ogół coraz wyraźniej się je różnicuje. Nie powiemy: *człowiek, stosunki kulturowe*, tylko *kulturalne*. Niekiedy zamiast *człowiek kulturalny* możemy powiedzieć *człowiek wielkiej kultury*. W połączeniu ostatnim jednak określenie *wielkiej kultury* jest czymś więcej niż określenie *kulturalny*. Nie są to więc określenia równoważne. Używając połączeń: *wpływy kulturalne* i *wpływy kulturowe* będziemy je różnie rozumieli. Połączenie pierwsze oznacza ogólne wpływy kultury, połączenie drugie wpływy określonej epoki kulturowej¹.

Uściślając zakresy użycie wyrazów pokrewnych semantycznie usuwamy je spośród synonimów *sensu stricto*. Pozornymi synonimami są również wyrazy *sąsiedni* i *sąsiedzki*. Oba są utworzone od rzeczownika *sąsiad*. Nie były używane wymiennie. Mówimy *sąsiedni kraj, las, obywatel, miasto. W sąsiednim pokoju*. KK; *sąsiedni dom* (Kraszewski), *wsie* (Bukar, KK). *Sąsiedni* znaczy tyle co »w pobliżu położony« (kraj, las, dom, wieś), »w pobliżu zamieszkały« (obywatel); »będący najbliższym sąsiadem«. W składni *sąsiedni* komu, czemu — *sąsiedni* oznacza »graniczący w sąsiedztwie z kim, z czym, zbliżony do kogo, do czego«: język sąsiedni polskiemu PJ, 12, 10². *Sąsiedzki* — to »związany z sąsiadem, właściwy sąsiadowi a. należący do sąsiada«: *Sąsiedzka krowa* (L), *zażyłość, przyjaźń, zgoda* (KK); *sąsiedzkie stosunki* (Bukar); *zatargi* (Mick.), *przystugi* (KK); *sąsiedzka trwoga* — *twoja przestroga* (Kn). Takich par pozornie synonimicznych jest więcej. Podobnie wygląda sprawa z przymiotnikami *należny* i *należyty*; *dziecięcy* i *dziecinny*. Historycznie wyrazy te były używane wymiennie i obecnie często się ich znaczenie miesza, co prowadzi do różnych nieporozumień i frazeologicznych potknięć³.

¹ Por. W. Doroszewski: Rozmowy o języku, Seria II, art. *Kulturalny* — *Kulturowy*, Str. 62—64. RIW. Warszawa 1951 oraz JP. 1, 1950, s. 31.

² por. Szober, SPP. s. 452.

³ por. W. Doroszewski. Rozmowy o języku RIW. W-wa, 1948, s. 117—120 oraz Kryteria poprawności językowej. W-wa 1950, s. 8—9.

Sprawa dokładnego określenia bliskoźnaczności wyrazów, jej stopnia i granic jest bardzo trudna i powikłana. Wyjaśnia ją prof. Doroszewski w „Rozmowach o języku“ w związku z rozważaniem znaczeń wyrazów *dziecięcy* — *dziecinny*. Píše tam na ten temat co następuje: „Wyrazy *dziecięcy* i *dziecinny* są wyrazami bliskoźnacznymi. (...). Zaczniemy od sprecyzowania, co znaczy „bliskoźnaczne“, czyli kiedy mamy do czynienia z bliskoźnacznością wyrazów? Po pierwsze wtedy, mógłby kto powiedzieć, kiedy wyrazy są znakami podobnych do siebie przedmiotów. Ale ze stanowiska tego, co zachodzi w samym języku, taka bliskoźnaczność mało nas interesuje. Np. poziomka i truskawka różnią się od siebie niewiele, ale nazwy tych przedmiotów nie są sobie pod względem znaczeniowym bliższe niż nazwy *poziomka* i *gruszka*, bo w każdym wypadku dobrze wiemy, o jaki owoc chodzi i nie pomylimy jednego z drugim. Treść znaczeniowa każdej nazwy jest tu wyraźna i nie krzyżuje się z treścią innej nazwy, choćby nawet przedmioty odpowiadające nazwom były do siebie podobne. Z bliskoźnacznością właściwą mamy do czynienia wówczas, gdy treści lub zakresy wyrazów zachodzą wzajem na siebie⁴. Wtedy powstają wahania, czy w pewnym wypadku powiedzieć tak czy tak, i wtedy jest regułą, że bezwzględnie ścisłego podziału znaczeń dokonać nie można, bo zostają znaczeniowe *condominia*, czyli »obszary wspólnego władania«. W tym właśnie sensie bliskoźnacznymi są wyrazy *dziecięcy* i *dziecinny*“ (str. 117—118).

Z wyjaśnień tych widzimy, że określanie bliskoźnaczności wyrazów od strony podobieństwa przedmiotów, których są nazwami, prowadzi do wniosku, że podobieństwo desygnatów nie powoduje tego, by nazwy podobnych desygnatów miały być synonimami. W języku potocznym tak jak w języku naukowym potraktowano oba owoce jako różne i różnie je nazwano, botanik jednak uważa je za różne gatunki tego samego rodzaju *fragaria*, czemu daje wyraz w terminologii:

fragaria vesca (poziomka pospolita a. zwyczajna),
fragaria elatior (poziomka truskawka),

a nienaukowiec nie zwracając uwagi na wspólne cechy rodzajowe postrzega różnice między obu przedmiotami i nazywa je zupełnie różnymi wyrazami.

Za podstawę określenia bliskoźnaczności wyrazów przyjmuje więc prof. Doroszewski nie podobieństwo przedmiotów, lecz treści i zakresy. Stojąc na tym stanowisku musimy wyjaśnić, jak będziemy rozumieli terminy treść i zakres wyrazu.

⁴ podkreślenie moje.

Treścią wyrazu czyli jego konotacją nazywamy zespół cech znaczeniowych występujących we wszystkich użyciach wyrazu. Praktycznie treść wyrazu określają odpowiednio dobrane konteksty.

Zakresem znaczeniowym wyrazu czyli denotacją nazywają logicy ogół desygnatów odpowiadających temuż wyrazowi jako nazwie⁵. Dla celów językoznawczych uwzględnić musimy oprócz zakresu desygnatów także **z a k r e s u ż y ć w y r a z u**.

Zakres użyc wyrazu to zespół jego połączeń z innymi wyrazami. Określić treść wyrazu to podać znaczeniowe cechy występujące we wszelkich użyciach wyrazu, określić jego zakres użyc — to podać, z jakimi wyrazami może się on łączyć, a z jakimi nie.

Sformułowania te będą miały praktyczne znaczenie dla dalszych naszych rozważań, gdyż nie możemy sprawdzić zakresu użyc wyrazu inaczej jak tylko badając istniejące i możliwe związki tegoż wyrazu z innymi wyrazami.

Rozważmy omawiane wyżej typy synonimów od strony zakresu użyc. Nie rozpatrując frazeologii wyrazów *blask*, *błysk*, *połysk* *odblask* i *odbłysk* intuicyjnie możemy określić ich znaczenie:

blask »światło mocne, własne lub odbite, dłuższy czas trwające«, np. *blask słońca*, *blask księżycy*;

błysk »światło gwałtowne, własne lub odbite, trwające krótko«, np. *błysk pioruna*;

połysk »światło migotliwe, odbite od gładkiej powierzchni«, np. *połysk metalu*;

odblask »światło odbite od ciała oświetlonego«, np. *odblask na ścianie*;

odbłysk »krótkotrwałe światło odbite od ciała oświetlonego«, np. *odbłysk powierzchni lustrzanej*.

Przy tak pojętej intuicyjnie różnicy znaczeniowej tych wyrazów zakresy ich użyc nie powinny zachodzić na siebie wcale. Należałoby je traktować jako odmiany światła i analogicznie do odmian opadów (deszcz, śnieg, grad itp.), wiatrów (huragan, cyklon, zefir itp.), zwierząt (lew, tygrys, ryś, kot itp.) nie uważać za synonimy. W praktyce językowej używamy wyrazów *blask*, *błysk*, *połysk* i *odblask* bardzo często wymiennie, o czym świadczy dość bogata frazeologia tych wyrazów.

Jako określenia wyrazu mogą występować bardzo liczne wyrazy, jak na przykład poniższe wybrane z różnych utworów literackich (kontekstów dla krótkości nie cytujemy wszędzie):

Blask: słoneczny a. słońca, księżycy, gwiazdy, komety, dzienny a. dnia, nocy, świtu, przedświtu, zachodu, zorzy, ognia, pożogi, ogniska,

⁵ por. T. Kotarbiński. Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk. Lwów 1929, s. 12 i nast.

płomienia, świecy, łuczywa, pochodni, lampy, latarni, reflektora, śniegu, biżuterii; oczu a. w oczach; *blask* czego w oczach (np. *blask* życzliwości, triumfu w oczach).

Operowanie wyrazem *blask* nie ogranicza się do połączeń z rzeczownikami i przymiotnikami. Może wchodzić w nie mniej liczne związki z czasownikami tworząc mniej lub więcej łączliwe zwroty:

kłaść blask na co (DL. 6, 50, s. 12); *rzucać blask* (o słońcu — Dąbr. Noc. I, 88); *świecić* (zmiennym) *blaskiem* (o gwiazdach — Wiedz. 630, s. 22); (o oczach — Żer. Prom. 55); *płonąć* (oślepiającym) *blaskiem* (o drogich kamieniach — Leś. Klech. 50); *płonąć* (niespokojnym) *blaskiem* (o oczach — S. Kowal. Świat 29); *połykiwać* (mętnym) *blaskiem* (o okienku — W. Was. Ziem. 85); *błyszczyć* (niesamowitym) *blaskiem* (o oczach); *lśnić* (silnym) *blaskiem* (o śniegu — Szmag. Dym. 95); *lśnić się w blasku* (księżycy — Żer. Ur. 133); *ośniony blaskiem* (słońca — W. Mark. Baśń. 69); *oślepić blaskiem* (ognia — W. Was. Pierw. 54); *skrzyć się w blasku* (o śniegowej bieli — J. Ejs. Pusz. 77); *mienić się* (jasnym) *blaskiem* (o liściach — Perzyń. Cud. 97); *przyćmiewać swym blaskiem* (Wiedz. 456, s. 17); *przewyższać swym blaskiem* (Rad. Geogr. VIII, 25; Wiedz. 509, s. 7); *wypętnić się* (żółtym) *blaskiem* (o pokoju — Brosz. Mił. I, 26); *nabrać blasku* (o oczach — Bobiń. Chłop. 63); *odzyskać blask* (o oczach — Prus Emanc. II, 200); *oblewać* (co) *blaskiem* (o świetle np. świec — W. Kowal. Rodz. 113); (o księżycu — Brzech Kleks. 113); *żarzyć się* (niezdrowym) *blaskiem* (o oczach — S. Dobr. Jas. 161);

albo frazy:

blask bije od kogo a. czego (Goj. Ziem. 144; 167); (od śniegu — W. Was. Tęcz. 149); z czego: „A gdy w galop puścisz się, natenczas z czapraka, Blask bije jakby złoto kapało z rumaka“ (Mick. IV, s. 320); „bije blask z karabeli“ (Mick. IV, 353); z grupy (kobiet — Brand. Troj. 58); „bił od nich blask“ (od oczu, — Mick. Ukr. 147); *blask pada* (z pieca — Goj. Ziem. 65); *padał blask* z pobliskiej lampy elektrycznej. (Żer. Naw. 182); *milionowy blask* padał na trawę (Dąbr. Noc. II, 277); *blaski migaly* w jej źrenicach (Żer. Dziej. II, 237); *rubinowe blaski* (od ognia) *pełgały* (po domu). (Dąbr. Uśm. 6); *blask rozjaśnił* izbę (TP. 16, 51, s. 6); *blaski słoneczne gasty* na wyniosłych murach (...) (Żer. Prom. 23); *blask słońca razi* kogo w oczy (z Wiedz.); *blask śniegu oślepił* oczy. (Bobiń. Chłop. 136).

Błysk: światła, słońca (Słow. I, 77), pioruna, stosu, ognia, płomienia, świec, latarki, lamp, reflektorów, wystrzału, eksplozji, noża, miecza, zębów; oczu, spojrzenia; w oczach (np. z gniewnym błyskiem w oczach).

W połączeniach z czasownikami wyraz *błysk* tworzy również zwroty i frazy:

z w r o t y: miotać (posepne, mściwe) błyski (M. Brand. Spot. 120);
załsnąć błyskami (Krucz. Sid. 286); mieć błyski czego w oczach
(Morc. Wyr. II, 244);

f r a z y: błysk (triumfu) zamigotał mu w oczach (Perzyń. Cud.
235); błysk strzelał z oczu (Żer. Prom. 72); przeleciał w oczach
(Żer. Naw. 300).

Połysek: latarni, butów, jedwabiu, włosów, minerałów; oczu a. w oczach;
z w r o t y: zamigotać (brylantowym) połykiem (Żer. Ur. 47);
kłaść (śliski) połysek na co (Brand. Ant. 296); mieć (dziwny) połysek
w oczach (Dygas. V, 216); nabrać połyku (o włosach) (M. Brand.
Spot. 102).

Odblask: słońca, księżycowej poświaty, śniegu, ognia, żaru, świec, światła;
z w r o t y: kłaść, położyć odbłask na co (Święt. I, 116); ozłocić
odblaskiem (Prusz. Kar. 23);

f r a z y: odbłask (słońca) złoci dachy i drzewa (Święt. I, 124);
odblaski (księżycowej poświaty) migają na kaflach (Prusz. Kar. 207);
odblaski (ognia) tańczyły po ścianach (Prusz. Kar. 218); odbłask
idzie od czego (Prusz. Kar. 207).

Odbłysek: promieni (Mick., zorzy (Kraśń. KK.), ognia (Od. KK.).
Przenośne użycia tych wyrazów pomijam.

d. n.

Stanisław Skorupka

R E C E N Z J A

*Franciszek Sławski, Słownik etymologiczny języka polskiego. Ze-
szyt 1. (A-Czar.).* Kraków 1952. Nakładem Towarzystwa Miłośników Ję-
zyka Polskiego. Str. 1—112.

Zeszyt 1. Słownika etymologicznego prof. Sławskiego składa się
z trzech części. Część pierwsza (str. 1—7) stanowi wstęp, w którym autor
podaje zarys historii badań nad etymologią wyrazów polskich i w ogóle
słowiańskich. W krótkich słowach charakteryzuje on prace etymologiczne
Miklosicha, Brücknera, Bernekera, Trautmanna, Meilleta, Rozwadowskie-
go, Przeobrażeńskiego, Mladenowa, Vasmera i Kořinka. Nowy słownik
charakteryzuje autor w następujących słowach: „Obecny słownik ety-
mologiczny języka polskiego ma tylko do pewnego stopnia zastąpić słow-
nik Brücknera, uwzględnia bowiem przede wszystkim hasła znane dzisiej-
szej polszczyźnie literackiej. Objasnia on przede wszystkim tzw. prasłow-
wa, tj. wyrazy spotykane i w innych językach słowiańskich, często ogól-

nosłowiańskich. Zadaniem jego jest dać pełny przegląd podstawowych wyrazów ogólnosłowiańskich w dzisiejszej polszczyźnie; jeżeli chodzi o derywację natomiast, to wobec ograniczonego miejsca musi się tu dać tylko mniej lub więcej indywidualny wybór uzależniony najczęściej od wieku wyrazów, zasięgu w słowiańszczyźnie, ciekawości formacji. Z wyrazów obcych uwzględnia się tylko najstarszą warstwę, która w przeciętnej świadomości językowej często już nie uchodzi za pożyczki.“ (str. 5). Część druga zeszytu (8—22) obejmuje obfitą i cenną bibliografię przedmiotu oraz rozwiązanie skrótów. Część trzecia (23—112) to właściwy słownik etymologiczny obejmujący wyrazy od *a* do *czar*. Całość słownika ma objąć pięć zeszytów siedmioarkusowych, które mają się ukazywać w odstępach mniej więcej półrocznych.

Zanim przejdziemy do bliższego omówienia nowego słownika, chciałbym ustalić pewne ogólne cele, do których powinny dążyć prace tego rodzaju. Otóż zadaniem słowników etymologicznych jest przedstawienie pochodzenia i historii podstawowego zasobu wyrazów danego języka lub rodziny języków. Ten podstawowy zasób tworzą wyrazy pierwiastkowe, które poza końcówką są w poczuciu mówiących całościami niepodzielnymi, a równocześnie są wyrazami w języku zadomowionymi, używanymi przez wszystkie warstwy społeczne i to od wieków, np. *wóz*, *ręka*, *chleb*, *dobry*, *chodzić* itd. Słownik etymologiczny uwzględnia zatem tylko część słownictwa badanego języka, a uwzględnione wyrazy łączy on w tzw. gniazda etymologiczne, tj. grupy wyrazów urobione od jednego pierwiastka, np. *wóz*, *wiezie*, *wozi*. Pod jednym hasłem omawia się zasadniczo w słowniku etymologicznym wszystkie wyrazy należące do jednego gniazda. W tych warunkach koniecznym uzupełnieniem staje się alfabetyczny indeks wyrazów objaśnionych w słowniku. Słownik etymologiczny ustala pochodzenie wyrazów przez sprowadzenie wyrazów rodzimych do formy prajęzykowej (np. wyrazów polskich do formy prasłowiańskiej lub praindoeuropejskiej), wyrazów zapożyczonych zaś do formy języka, z którego pochodzą. W związku z tym słownik etymologiczny notuje najważniejsze zmiany w formie i w znaczeniu wyrazów, jakie dokonały się na przestrzeni wieków. Jest oczywiste, że w ten sposób nie da się opracować wszystkich wyrazów badanego języka, gdyż w tym wypadku słownik rozrósłby się do monstrualnych rozmiarów. Słownik etymologiczny może zatem omawiać tylko podstawowy zasób wyrazów. Wydzielenie tego zasobu nie jest jednak rzeczą łatwą, mamy bowiem mnóstwo wyrazów, co do których można się wahać, czy tu należą czy nie. Po wtóre sam problem pochodzenia i historii wyrazów może być ujęty w rozmaity sposób. Wszystko to sprawia, że słowniki etymologiczne róż-

nią się od siebie poważnie. Oto charakterystyka kilku ich typów częściej spotykanych.

Przede wszystkim należy odróżnić słowniki etymologiczne, które rejestrują i dyskutują w zasadzie wszystkie wysunięte w poważnej literaturze naukowej pomysły etymologiczne, od słowników, które dają tylko jedno objaśnienie uważane przez autora za słuszne, innymi zaś nie zajmują się. Za reprezentanta pierwszego typu posłużyć nam może pierwsze wydanie słownika etymologicznego języków indoeuropejskich A. Waldego i J. Pokornego¹, słownik etymologiczny języka łacińskiego A. Waldego², a w zasadzie także słownik etymologiczny języków słowiańskich E. Bernekera³. Typ drugi reprezentuje drugie wydanie słownika indoeuropejskiego Walde-Pokorny, słownik etymologiczny łaciński Ernout-Meillet⁴, słownik etymologiczny języka niemieckiego Klugego⁵ i wiele innych. Wśród tego ostatniego typu odróżnić należy jeszcze słowniki indywidualne, jak słownik łaciński Ernout-Meillet, w których jedyne podane objaśnienie jest często hipotezą samego autora (w tym wypadku A. Meilleta), od słowników mało indywidualnych podających niemal zawsze hipotezę najczęściej powtarzaną (np. słownik Klugego). Z innego punktu widzenia wyróżnić można słowniki, które ograniczają się tylko do wyprowadzenia wyrazów z pewnych praform (oba wydania słownika indoeuropejskiego Walde-Pokorny, słownik Bernekera) od słowników uwzględniających w szerszym zakresie historię wyrazów, tj. ich zmiany znaczeniowe, zasięg użycia społecznego, rolę w literaturze itd. (słowniki Ernout-Meillet, Kluge, O. Bloch)⁶.

Jak w świetle tych kilku uwag przedstawia się „Słownik etymologiczny języka Polskiego“ Aleksandra Brücknera, pierwsze u nas dzieło

¹ Alois Walde, Vergleichendes Wörterbuch der indogermanischen Sprachen herausgegeben und bearbeitet von Julius Pokorny, Berlin und Leipzig 1930—1934 (trzy tomy).

² Alois Walde, Lateinisches etymologisches Wörterbuch, Heidelberg, Carl Winter (obecnie wychodzi zeszytami trzecie wydanie opracowane przez J. B. Hofmanna).

³ E. Berneker, Slavisches etymologisches Wörterbuch. A.-mor6, Heidelberg 1908—13.

⁴ A. Ernout et A. Meillet, Dictionnaire étymologique de la langue latine. Histoire de mots. Troisième édition revue, corrigée et augmentée d'un index. Paris 1950—1.

⁵ Friedrich Kluge, Etymologisches Wörterbuch der deutschen Sprache. Viele wydań.

⁶ O. Bloch, Dictionnaire étymologique de la langue française (wraz z W. Wartburgiem), I—II, Paris 1932.

tego rodzaju, oraz wychodzący obecnie słownik Sławskiego⁷? Porównanie między tymi dwoma pracami można przeprowadzić na płaszczyźnie trzech zagadnień, a mianowicie 1^o co do doboru materiału, 2^o jego opracowania, 3^o stosunku do dotychczasowej literatury.

Słownik Brücknera jest znacznie obfitszy od słownika Sławskiego. Pomiedzy *A* a *Czar* znajdujemy u Brücknera 764 hasła, a zatem gniazda etymologiczne, u Sławskiego zaś tylko 434 hasła, tj. 58% liczby haseł jego poprzednika. W indeksie do słownika Brücknera między *A* a *Czar* wymienionych jest 2,756 wyrazów, a zatem przeciętnie stosunek ilościowy wyrazów do haseł jest tu podobny. Wobec tego można sądzić, że słownik Sławskiego zawiera niewiele ponad połowę tej liczby wyrazów, która została opracowana przez Brücknera. Wynika to stąd, że Sławski programowo nie uwzględniał nowszych zapożyczeń, a ze względu na brak miejsca nie mógł uwzględnić większej liczby derywatów. Słownik Sławskiego opracowany jest z punktu widzenia slawisty-etymologa, którego zainteresowania skupiają się na dziedzictwie prasłowiańskim przechowywanym w naszym języku literackim. Pod względem historyczno-porównawczym część ta w istocie jest najciekawsza, nowsze zapożyczenia bowiem są zwykle dość przejrzyste i nie nastroczają poważniejszych problemów etymologicznych. Nie da się jednak zaprzeczyć, że to ograniczenie materiału zmniejsza użyteczność praktyczną słownika Sławskiego. Szukając objaśnienia jakiegoś nieznanego wyrazu mamy prawie dwa razy większe prawdopodobieństwo znalezienia go u Brücknera niż u Sławskiego. Z tej słabej strony swego słownika Sławski zdaje sobie sprawę zaznaczając, że „może on tylko do pewnego stopnia zastąpić słownik Brücknera“. Z drugiej strony jest jednak pewne, że Sławski uwzględnia główną część podstawowego zasobu wyrazów naszego języka, ona bowiem właśnie jest pochodzenia prasłowiańskiego. Należy jednak zaznaczyć, że dobór wyrazów w słowniku Sławskiego nie jest całkowicie konsekwentny. Brak w nim takich wyrazów zapożyczonych, ale zdomowionych w polszczyźnie jak *bizun*, *blacha*, *blichtr*, nie ma rodzimego choć dźwiękonaśladowczego *blekotu*, a natomiast są *ciuchy*, wyraz rozpowszechniony w Polsce dopiero po drugiej wojnie światowej i zdaje się zapożyczony, bo stojący w związku z *cuha*, *czucha* z węg. *csuha* z ekspre-sywnym zmiękczeniem nagłosu jak w *ciulać*, *ciupa*, *ciupać*.

Przystępując do oceny różnic w opracowaniu materiału między oboma słownikami wyjdźmy od konkretnego, a w pewnym stopniu typowego przykładu, jakim jest wyraz *czajka*:

⁷ W tym związku należałoby wspomnieć o niedokończonym „Nowym słowniku języka polskiego“ opracowanym pod redakcją T. Lehra-Spławińskiego, T. I i część II. Warszawa. 1938—1939. Trzaska, Evert, Michalski.

Słownik Brücknera (s. 72)

c z a j k a, czeskie *čejka*, co Ruś (z niem.?) *czibizem* zowie, gdy jej *czajka* »mewę« oznacza, ale to niewłaściwie; czy ptak nie nazwany od czajenia się, wydawania głosem swoim tego, co się ukrywa? Inni go od głosu samego, więc dźwiękonaśladowczo, wywodzą. *Czajka*, »łódź«, zamiast *szajka*, tur. *szajka*, przez Ruś; „nawy, które *szajkami* zowią“, w 16. wieku.

Słownik Sławskiego (s. 112)

c z a j k a »ptak, *Vanellus cristatus*«, L. XVI w.; czes. *čejka*, ros. *čajka* »mewa«, ukr. *čajka*. — Dźwiękonaśladowcze od krzyku ptaka, podobne łot. *kaija*, estońskie *kajak* »mewa« (Berneker SEW 134). Por Bułachovskij Izv. SSSR VII 101.

c z a j k a »łódka kozacka«, XVI L.; cz. *čejka*, ros. *šajka* »naczynie drewniane na wodę«, ukr. *čajka* »rodzaj łódki kozackiej«, sch. *šajka* »łódka«. — Z tur. *šajka* »łódź, barka« (Lokotsch EW 141), do nas za pośrednictwem ruskim.

Różnic merytorycznych między obu autorami nie ma, ale trudno nie przyznać wyższości opracowaniu Sławskiego. Wyraz *czajka* jest homonimem, w którym zidentyfikowały się dwa wyrazy różnego pochodzenia. Mamy więc tu dwa gniazda etymologiczne, które Brückner niesłusznie omawia w obrębie jednego hasła. Sławski je rozdziela uzyskując większą przejrzystość wykładu. Sławski daje liczniejsze odpowiedniki z innych języków i cytuje je w pisowni precyzyjniejszej, jakkolwiek nastroczającej pewne trudności niefachowemu czytelnikowi. Sławski systematyczniej podaje wiek, w tym wypadku wiek XVI, w którym po raz pierwszy zapisano dany wyraz. Brückner wymienia wiek pierwszego zapisu tylko przy nazwie łódki, Sławski przy obu hasłach, jak w ogóle przy wszystkich hasłach swego słownika. Niekiedy wydaje się to prawie zbyt, jak przy wykrzyknikach ogólnoludzkich, zawsze używanych, np. *ach!* (od XIV w.), *aha!* i *aj!* (od XV w.). Przy wyrazach, które wyszły z użycia, Sławski podaje czas ich występowania, np. XV—XVII w. *abowiem*, *abowim* »bo«. Natomiast Brückner cytuje więcej zwrotów z dawnej literatury. Ogólnie biorąc u Brücknera mamy więcej danych do dziejów wyrazu w epoce historycznej, dla Sławskiego natomiast głównym przedmiotem zainteresowania jest jego powstanie w epoce prasłowiańskiej.

Najważniejsza jednak różnica między oboma słownikami dotyczy ich stosunku do dawniejszej literatury naukowej. Brückner nie podaje żadnej bibliografii, pozatem jednak słownik jego jest niejednorodny. W jednych hasłach dyskutowanych jest kilka teorii (bez podania autorów), przy czym nie zawsze jest rozstrzygnięte, którą z nich należy uważać za słuszną, w innych podane jest tylko jedno objaśnienie, choć wiadomo,

że w literaturze naukowej znaleźć ich można więcej. Należy jednak stwierdzić, że wiele objaśnień Brücknera jest nowych, oryginalnych, a wszystkie one niemal są godne uwagi. Słownik Brücknera jest niesystematyczny, ale w wysokim stopniu indywidualny i odkrywczy. Natomiast Sławski opracowuje konsekwentnie wszystkie hasła w ten sposób, że zasadniczo podaje tylko jedno objaśnienie, to mianowicie, które uważa za słuszne, wskazując jednocześnie na jego autora, innych objaśnień zaś nie dyskutuje i przeważnie nie streszcza, ale odsyła do traktującej o nich literatury. Największą zasługą Sławskiego jest zebranie obfitej bibliografii dotyczącej etymologii każdego z badanych wyrazów. Dzięki temu jego słownik staje się niezbędnym uzupełnieniem słownika Brücknera. Jeden tylko szczegół razi. Sławski kilkakrotnie określa teorie nie przedyskutowane, a nawet nie streszczone, jako „błędne“. Postępowanie to trudno uważać za słuszne. Gdy nie podaje się argumentów, można stwierdzić tylko, że się jest innego zdania. Jak widzimy zatem, słownik Brücknera jest obfitszy i bardziej indywidualny, słownik Sławskiego natomiast lepiej opracowany i nieoceniony przez bibliografię. Oba dobrze się uzupełniają.

A teraz jeszcze kilka uwag dotyczących poszczególnych haseł słownika Sławskiego:

B a c a. Już po wydrukowaniu 1. Zeszytu słownika Sławskiego ukazał się artykuł Z. Gołąba, pt. Wyrazy pochodzenia południowo-słowiańskiego w polskich gwarach góralskich, „Język Polski“ XXXII, 5 (r. 1952), s. 202—8, gdzie wyraz *baca* objaśniony jest (s. 203—5) w sposób podobny jak u Sławskiego, lecz z podaniem nowych szczegółów.

B i e c, b i e g a ć. Forma grecka *phébomai* »uciekam« dowodzi, że pierwiastek wyrazu pol. *biegać* miał w praindoeuropejskim postać **bhēgʷ* // **bhegʷ* zakończone na *gʷ* labializowane, tj. wymawiane z zaokrągleniem warg, a nie postać **bhēg-* // **bheg-* zakończona na *g* nie labializowane, jak podaje Sławski, co zresztą może być tylko błędem korekty.

B i e s. Prof. K. Moszyński w artykule pt. Uwagi do 1. zeszytu „Słownika etymologicznego języka polskiego“ Fr. Sławskiego „Język Polski“ XXXII, 5 (1952), s. 193—202, łączy pol. *bies* »diabeł, zły duch« ze staroindyjskim *bhāsah* »światło«, *bhasati* »błyszczeć«. Trudność polega na tym, że pol. *bies* trzeba by było wyprowadzać przy tej etymologii z praindoeuropejskiego **bhēsos*, tymczasem str.-ind. *bhāsah* wywodzi się zazwyczaj z pie. **bhōsos* i łączy bezpośrednio z gr. *phōskei* »przepuszcza światło« i *phōstēr* »okno«. Obok formy pie. **bhō-s-* nie ma zaświadczonej w sposób pewny postaci pie. **bhē-s-*, por. Walde-Pokorny 1. wyd. tom II, str. 122—3. Znaczeniowo *diabeł* i *światło* są również dalekie. Dlatego wydaje mi się prawdopodobniejszą etymologia podana przez Bernekera

a przejęta przez Sławskiego, wedle której pol. *bies* łączy się z litewskim *baisus* (= **baid-s-u-s*) »straszny«, łotewskie *baidu* »straszę«.

B r z o s t. Prof. Moszyński (o. c.) łączy ten wyraz z serbochorwackim *brdo* »góra, wzgórze« ukraińskie *bérdo* »przepaść«. Nawiązanie dalekie znaczeniowo a także dźwiękowo, bo na gruncie słowiańskim obok **bř-d-* (stąd sch. *brdo*) postać *ber-d-* (z której można by było wyprowadzić *brzost*), choć możliwa, nigdzie jednak nie jest zaświadczona. Ogólnie przyjęta i powtórzona przez Sławskiego etymologia łącząca *brzost* z *brzozą* wydaje mi się prawdopodobniejsza.

C h l e b. Sławski idzie zwykle za pracą prof. J. Kuryłowicza, Związki językowe słowiańsko-germańskie („Przegląd Zachodni“ 5/6, r. 1951), str. 199, przy oddzielaniu dwu warstw zapożyczeń słowiańskich z germańskiego, a mianowicie warstwy starszej obejmującej wyrazy, w których na gruncie serbochorwackim i słoweńskim nastąpiło skrócenie samogłoski długiej, np. sch. *buk*, oraz warstwy nowszej, nie znającej skrótów, np. *hljiew*, *lûg*. Wyjątek stanowi wyraz *chleb* zapożyczony z wyrazu germańskiego reprezentowanego przez gockie *hlaifs* »chleb«, przy którym Sławski nie wspomina nawet o tym podziale na warstwy. Sławski postąpił słusznie nie zaliczając za Kuryłowiczem wyrazu *chleb* do starszej warstwy zapożyczeń, a to ze względu na materiał czeski. Same dane serbochorwackie i słoweńskie nie wystarczają do rozstrzygnięcia chronologii zapożyczeń dla całego obszaru słowiańskiego. Konieczne jest tu uwzględnienie materiału czeskiego. W kilku zapożyczeniach krótkości serbochorwackiej (i słoweńskiej) odpowiada krótkość czeska, np. sch. *buk*, czes. *buk*; sch. *lihva*, czes. *lichwa*; sch. *luk*; czes. *luk*; sch. *plug*, czes. *pluh*. Zakładając odmienny rozwój stosunków ilościowych w wyrazach zapożyczonych niż w rodzimych, możemy tu dopatrywać się starszej warstwy zapożyczeń. W innych wyrazach długość zachowała się tak w serbochorwackim (i słoweńskim) jak i w czeskim, np. sch. *chlijev*, czes. *chlév*; sch. *lûg*, czes. *louh* itd. Wyrazy te przy tych samych założeniach można zaliczyć do warstwy nowszej. W wyrazie jednak tu omawianym krótkości serbochorwackiej *hljeb* i słoweńskiej *hlèb* odpowiada czeska długość *chléb*. W wypadku tym stosunki iloczynowe nie dają żadnej podstawy do określania chronologii zapożyczenia.

C h a r t. Jest dziwne, że Sławski cytuje formy litewską *kùrtas* i łotewską *kurts* zapożyczone ze staropruskiego, a nie cytuje staropruskiej formy *curtis* »hart« zapożyczonej wedle wszelkiego prawdopodobieństwa z polskiego *chart* (por. T. Milewski, Stosunki językowe polsko-pruskie, *Slavia Occidentalis* XVIII (1947), str. 21—84, a zwłaszcza str. 30, 48, 54). W ogóle Sławski nie uwzględnia zupełnie materiału pruskiego, który dla odtworzenia dziejów słownictwa polskiego ma duże znaczenie. Przy

haśle *chorągiew* należałoby również wspomnieć o formie pruskiej *caryan- aus* »chorągiew« (zapisanej błędnie *cinyangus*) zapożyczony z polskiego, która zdaje się świadczyć, że na gruncie polskim obok formy *chorągiew* występowała niegdyś także forma **chorągiew* (polskie *-rią-* oddane przez pruskie *-ryan-*) analogiczna do staroruskiej *chorjugovъ*, por. T. Milewski, o. c. str. 33, 44, 45, 54).

Tadeusz Milewski

JESZCZE SŁÓWKO O NAZWIE OBCEJ „PATERNOSTER“

Na s. 42 III-ej już serii „Rozmów o języku“ prof. Doroszewski omawia wymienioną nazwę, oznaczającą rodzaj wyciągu, windę itp. Podaje m. in., że jeden z korespondentów, A. Konarski, nie znalazł w słownikach niemieckich pod *Paternoster* znaczenia »różaniec«, jakie by tu wypadło najpierw przypuścić. Od siebie zaś dodaje, że znaczenie to ma jednak — i to od dawna — wyraz ten w angielskim. Tę ostatnią informację można uzupełnić podaniem, że angielski ma nie takie same wprawdzie, ale podobne twory jak niemiecki *Paternosterwerk* czy *Paternosteraufzug*, mian. *paternoster-line* »wędką z haczykami umieszczonymi w odstępach i z ciężarkami«, a zwłaszcza *paternoster-wheel*, dosłownie »koło p., tj. urządzenie do wyciągania wody wiadrami na łańcuchu«. Lecz przykłady z języka angielskiego, choć pokrewne, nie stanowią bezwzględnie dowodu takiego samego stanu rzeczy w niemieckim. Lepiej zatem, sędzę, wspomnieć, że znaczenie »różaniec« istniało i nadal istnieje w niemieckim. Każdy może łatwo sprawdzić, że np. słownik niemiecko-francuski Sachsa-Villatte'a, w wydaniu mniejszym, tzw. podręcznym i szkolnym, sprzed lat okrążyło 40 podaje pod *Paternoster* jako 2. znaczenie w nawiasie »*Rosenkranz*« z odpowiednikiem francuskim, *chapelet*, dodając jeszcze potoczne francuskie *patenôtre* (tegoż oczywiście pochodzenia co niemieckie, tylko trochę zmienione przez dysymilacyjny zanik pierwszego *r* oraz zanik *s* przed spółgłoską według postaci odpowiedniego zaimka dzierżawczego) w l. mn., bo to znaczy właściwie »paciorki różańca«. Te same informacje zresztą znaleźć można w mniejszym bez porównania słowniczku W. Kohlera (Enzyklop. Wörterbuch für den deutschen Sprach- und Schreibgebrauch; też wydawnictwo Langenscheidta, z r. 1911), objaśniającym: »*Vaterunser, Rosenkranz*«. A słownik etymologiczny niemiecki F. Klugego w wydaniu z r. 1934 nie tylko informuje, że *Paternoster* oznacza (potem) większe paciorki różańca, odpowiadające modlitwie Ojciec nasz, a dalej sam różaniec, ale też potwierdza w pełni opartą na wrażeniu osobistym interpretację owego korespondenta, mianowicie, że maszyny te nazwano *Paternosterwerk* czy *Paternosteraufzug* właśnie od różańca (Kluge mówi to wyraźnie). — Warto wreszcie wspomnieć, że według

słownika Ippoldta sprzed lat mniej więcej 15 (bez daty) *Paternoster* znaczy: 2) różaniec; 3) łańcuch bez końca; 4) podnośnica paciorkowa (np. do wyciągu cegieł); 5) rodzaj windy osobowej. Te dwa ostatnie znaczenia — w których pierwsze ma (jak widać) odpowiednik polski nawiązujący najwyraźniej do paciorków — to oczywisty wynik tzw. zgęszczenia, tj. skrócenia wyrazu złożonego, mian. obu już wymienionych terminów. *Paternosterwerk* i *Paternosteraufzug*.

Na zakończenie dobrze będzie zauważyć, że i franc. *chapelet* »różaniec« nabrało znaczenia: »szereg, seria« (np. „un chapelet d'injures“ »seria obelg, stek obelg« i »podnośnik hydrauliczny, różaniec«) tak wg słownika Kaliny z r. 1928 (choć daty nie podano); znów się to stało dosyć dawno, bo oba te znaczenia są już w owym słowniku Sachse-Villatte'a.

Eugeniusz Słuszkiewicz

DLACZEGO „WIĘŹNIARKA“ »KOBIEȚA WIĘZIEŃ«?

W zesz. 94, tj. 9 z r. 1950, „Poradnika Językowego“ na s. 27 K. Bein podaje, że „z dwóch nowo utworzonych wyrazów *więziennica* nie przyjęła się, upowszechniła się *więźniarka*“. Może warto rozważyć krótko, dlaczego się tak stało mimo niejednokrotnego piętnowania nowotworu rzeczywiście nieudalęgo; np. w r. XXVIII (1948) Języka Polskiego na s. 28 n. T. Jaczewski, M. Psuja i Redakcja zgodnie skrytykowali ten dziwoląg.

Lecz zastanówmy się najpierw, według czego utworzono *więźniarkę*. Sądzę, że T. Jaczewski był na drodze do dobrej odpowiedzi, gdy przypominał konkretną *węglarkę* i *spizarkę* z jednej, a abstrakcyjną *żołnierkę* i *belferkę* z drugiej strony. Jeszcze tylko krok — nie naprzód, lecz w tył, a dojdziemy do *młynarki*, *piekarski*, *mleczarki*, *dziennikarki* itp., tzn. do tworów r. ż. na *-ka* od nazw r. m. na *-arz*, ale ze znaczeniem pierwotnym, nie pochodnym. Różnica między nimi a *więźniarką* polega na tym, że 1) nie istnieje *więźniarz* czyli rodzaj żeński utworzono niejako na kredyt, przeskakując etap pośredni (ale czyż nie bywa tak nieraz w języku?); 2) że *więźniarka* oznacza — jak słusznie zauważył H. Psuja — nie osobę wykonującą jakiś zawód ani też narzędzie, ale kogoś biernego, różnica zatem i formalna, i znaczeniowa. Mimo to trudno chyba wątpić, że właśnie *piekarka* itp. służyły tu za wzór, niekoniecznie świadomy, może tylko podświadomy, przy czym właściwość aktywna zaszła na plan drugi, a na pierwszy wybiła się wspólność rodzaju (tj. ostatecznie tu płci); to pozwoliło zarazem niejako zapomnieć o niestnieniu *więźniarza*, zbytecznego przecież wobec istnienia *więźnia*. Bardzo możliwe zresztą, że *więźniarkę* utworzono nie od *więźnia* »człowiek uwięziony«, lecz od *więźni(a)* »więzienie«. Redakcja poinformowała, że „na znacznych obszarach Polski wy-

raz *więzienie* brzmi *więzień* (r. m. lub ż.): Forma żeńska do *więzień* winna by brzmieć — zdaniem Redakcji — *więźnica*, jak do *lew* jest *lwica*; albo może jeszcze lepiej — z uwagi na zakończenie — jak do *blazen* — *blażnica*. Może właśnie fakt, że tu nie użyto przyrostka *-ica*, dowodzi, że ten, kto pierwszy wskazał błędną drogę, brał za podstawę *więzień* »*więzienie*«, bo inaczej jakże łatwo się nasuwała jako wzór, choć niewłaściwy z powodu innego uformowania słowotwórczego (od imiesłowu *uczony*) *uczen-nica* (*uczeń*) lub nawet *męczennica* (jakkolwiek r. m. tu brzmi *męczennik*). Rzeczywiście też — jak wynika z notatki K. Beina — niektórzy utworzyli r. ż. *więziennica*.

Zanim jednak powstała *więziennica*, w J. P. dopiero proponowana przez H. Psuję, *więźniarka* zdołała się rozpowszechnić. Rozpowszechnieniu zaś tej formy, pierwotnie jedynej, sprzyjała oczywiście potrzeba, jaką odczuwano. potrzeba odróżniania płci. Cóż z tego, że się mówi — jak przypomniał M. Psuja — *świadek Chuda*, skoro ten sposób wyrażania się ograniczony jest, o ile się orientuję, do rozpraw sądowych i do sprawozdań z nich? Tu potrzebny był wyraz do użytku codziennego. Na dobitkę, jeśli się pisze (o ile pamiętam) *świadek zeznała* (itp.) i to uchodzi, bo się ustaliło pod wpływem języka sądu, to powiedzenie *więzień uciekła* itp. brzmiałoby chyba nieznośnie, po prostu dlatego, że tego nigdy nie słyszano. Pewnie, oswoić się można ze wszystkim. Jeżeli nie tylko przeczytamy raz czy drugi w odcinku powieściowym dziennika *Mecenas Smela zwróciła uwagę*, wynotowane i przytoczone już w r. 1949 przez doc. A. Obrębską-Jabłońską w Por. Jęz. (z. 4, s. 3), ale też usłyszymy takie powiedzenie kilkadziesiąt razy na własne uszy, to się przestaniemy wreszcie dziwić i zwracać uwagę sami. Taż autorka jednak stwierdza (na s. 2), że dopiero pewna wysokość godności piastowanej przez daną kobietę chroni jej tytuł przed feminizacją (*konduktorka, kontrolerka, laborantka...*, ale *pani kustosz* i *minister* i *mecenas*). Otóż wyrazu *więzień* i odpowiedniego r. ż. używano przecież po pierwsze b. często bez nazwiska², a po drugie to nie jest

¹ Przypuszczam, że ta bodaj przez nikogo dotąd nie objaśniona forma jest oczywistym skrótem postaci normalnej *więzienie* r. n., skrótem r. m. wywołanym wpływem synonimicznego wyrazu *areszt* r. m., swego czasu (o ile mi wiadomo) bez porównania częstszym w języku codziennym niż raczej literackie *więzienie*. O takim wpływie wyrazów używanych już od dawna i normalnie na rodzaj i zarazem na postać synonimów dopiero wchodzących do języka piszę (ilustrując przykładami dość obficie) w II części artykułu pt. „Na marginesie węgierskich zapożyczeń“, zob. ostatni zeszyt Języka Polskiego z r. 1950. Rodzaj żeński tegoż skrótu, możliwy przecież także wobec zakończenia, tłumaczyć się może wpływem innego terminu, np. *koza*, również powszechnie używanego.

² Lub bez imienia; „jak o *świadku Barbarze*, tak można mówić i o *więźniu Barbarze*“ (Jęz. P. I. c., s. 29). Por. też s. 64, r. XXXI Języka Polskiego.

znów aż taka wysoka godność (mogło to spotkać każdego), aby przeciwdziałała feminizacji gramatycznej. Co prawda z dwojga złego znacznie lepsza jest niechybnie *więziennica* niż *więźniarka*, skoro może się wiązać z *więziony*, jak *uczennica* z *uczony*.

Eugeniusz Słuszkiewicz

Z GWARY SANDOMIERSKIEJ

O CHŁOPIE PAŃSZCZYŹNIANYM I KRÓLU*

Zapisała H. Kurowska — wieś Kleczanów

Pewnego razu chłop pas stado dworskich krów, a był bardzo zmęczony i usnoł. Krowy wlażyły w kapuste, a on śpi jakby nie widzioł. Najechał w spaniu ekonom i bije jak cholera. Chłop nie wiedział co się dzieje, a tu już kapusta wyjedzona. Przyszed do domu i żali się swoji: „pańskie krowy, pańska kapusta i żeby za to tak bić. Więc, powiada, słuchaj — ja pojedzie na pożalunek do samego króla. Zabij koguta — ugotuj całego, to będzie dło króla, a mnie upiec placek na blasze — praznoł — i dej syrek.“ W torbę wszystko zapakował ji jedzie do tego króla na koniu.

Jedzie, jedzie, wjechał w duży las. Słyszy naokoło jakoś strzelanine, ale jedzie. Nareszcie gdy już wjechał kawał drogi nadlatuje panek i pyto: „czyście nie widzieli jakich brycek, panów?“ — powiada — „nie widziołem.“ „Więc gdzie jedziecie?“ „Jadę do samego króla.“ „Co tam macie w ty torbie?“ „a no mom jedzenie.“ To go prosi zeby mu doł zjeść (a nowego pana wobóz wodjechał. Pan bardzo głodny, bo zabłodził w lesie). Chłop urwał mu kawolek placka, syra, i doł — „a tego koguta to żeby pan był nie wiem jaki, to nie ruse.“ Ten pan zjad to wszystko ze smakiem i w końcu pyto: „po co jedzie do króla?“ Ten wyjmuje papier, duży arkusz narysowany węglem i tłumaczy: „O widzi pan, tu jest kapusta, a tu pańskie bydło, a tutaj jo jezdem. Usnołem no ji ten pieron najechoł mnie ji bije. Pańskie pole, pańsko kapusta, to przecie pańskie, nie cyje.“ Pan rysonek zoboczył wysłuchał, no ji powiada: „bardzo dobrze tylko wos tam nie puszczo do króla.“ Wyjął z kieszeni jakiś znak i powiada: jak bedziecie jechać do miasta, przypniecie na czapce ten znak. Na ji jechoł, ji jechoł.

Gdy wjechał do tego miasta, przypioł sobie ten znak. Wszyscy sie patrzyli na chłopą, co na taki kobylinie jechoł i droge wskazywali, bo każ-

* Pod względem fonetycznym tekst jest przykładem gwary tracącej swe właściwości pod wpływem języka literackiego.

dy się zastanowić, że znak królewski mo. Jak dojechał w naznaczone miejsce, brame uodemkneli i chłopą wpuścili w królewskie podwórze.

Jak weszed do kancelarii królewski, ci wszyscy, co tam byli, zastanowili się j zapytujo się jego w jaki sprawie. Ten wyjoł rysonek, rozłożył na stole i mówi, że un w ty sprawie przyjechał, co tu narysowane; uowe uurzedniki posłupiały nad tym rysonkiem. Pytajo się go, co to znaczy. Chłop nie chce mówić, tylko jak przyjdzie król, to un będzie wiedzioł, co to jest. Do złości wszystkich wzięło, a tylko znak królewski jich powstrzymywoł — bo to chłop, co literki nie znoł. Gdy król nadjechał, poszed jeden i zameldował że przyjechał jakiś pieron z rysonkiem co — ni djabła. A król się tylko uśmiechnoł. Nareszcie król wchodzi, chłop się nisko ukłonił j powiada w jaki sprawie, j pokazuje ten papir na stole. Król rysonek zaczyna czytać, rozbierać. Wszyscy się patrzy i dziwio się. Gdy to przeczytoł, tak ten chłop powiada do tych uurzedników: „o to my głowa, a nie wy.“ Ci wszyscy nie wiedzieli, że król spotkał się z chłopem, który mu rysonek uobjaśnił w lesie. Teraz — panie — wyjmuje chłop z torby uugotowanego koguta j zaczyna dzielić częściami: łebek daje królowi, nogi dla synów, żeby były takie letkie jak ten kogut, a skrzydła dla córek, żeby mogły fruwać jak ten ptok. A toto, co zostało najlepsze, największe, bierze chłop j mówi: „A ja bidne chłopisko, zjem całe kadłubisko.“

Król powiada: „za to, że przyjechał na kobylinie trzeba mu dać siodło, żeby nie jechoł na uoklep. I podpisał „wydać stare siedlisko“.

Gdy chłop wyjechał za bramę, podleciał jakiś ktoś, przeczytał te kartke i powiada: „Jest tu w sąsiedztwie majątek, nazywa się „Stare Siedlisko“. Oddaj rządcy te kartke.“ Ten patrzy — podpis królewski. Więc prędko zawiadomili króla, co z tem robić. A król pomyślał nad tym troche, że chłop taki mądry i mówi: „niech tam, pol diabli“. No j chłop został dziedzicem.

OBJAŚNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW

Iść — jechać.

Jeden z korespondentów zastanawia się nad nad kwestią następującą: jeżeli jakiś człowiek wracając skądś do domu przejeżdża pociągiem pięć kilometrów, a potem idzie piechotą piętnaście kilometrów, to jak należy powiedzieć o nim: że *przyjechał* czy że *przyszedł*, bo on i jechał, i szedł? — To pytanie można potraktować jako okazję do stwierdzenia, że o bogactwie języka stanowi istnienie w nim nie tylko wyrazów o treści konkretnej, ale także wyrazów, w których się zawierają uogólnienia konkretnych doświadczeń.

Czasownik *ić* ma treść konkretną, przynajmniej we właściwych sobie podstawowych połączeniach wyrazowych; gdy mówimy, że jakiś człowiek *idzie*, mamy na myśli to, że on się posuwa stawiając kroki. Co innego, gdy powiemy, że pociąg przyszedł: przyście pociągu jest również czymś konkretnym, ale pociąg posuwa się inaczej niż człowiek. Fakt, że możemy powiedzieć zarówno „człowiek przyszedł“ jak „pociąg przyszedł“, świadczy o wyrobieniu się w czasowniku *przyjść* pewnego znaczenia uogólniającego. Jeszcze ogólniejsze znaczenie ma czasownik *przybyć*, w którym nie ma żadnej wskazówki dotyczącej techniki posuwania się w przestrzeni: można *przybyć* piechotą, pociągiem, autem, samolotem, czasownik ten ma treść bardziej abstrakcyjną niż czasownik *przyjść* lub *przyjechać*, z którym się wiąże najczęściej wyobrażenie jakiegoś konkretnego poruszania się. Czasem uwydatnienie tej konkretności nie jest potrzebne, czego dowodem jest między innymi kwestia poruszona przez korespondenta: jeżeli ktoś w czasie swej podróży to szedł, to jechał, to dla określenia czynności tego kogoś potrzebny nam jest czasownik uogólniający, który by zawierał treść wspólną czasownikom *ić* i *jechać* bez sygnalizowania różnic technicznych w sposobach posuwania się w przestrzeni. Gdy powiemy, że ktoś skądś *przybył*, to właśnie nie przesadzamy sposobu podróżowania, pomijamy to jako rzecz, o którą w danej chwili nie idzie, i stwierdzamy tylko sam fakt czyjegoś znalezienia się w miejscu, gdzie jesteśmy po przebyciu przez tego kogoś pewnej drogi. Toteż czasownikiem nadającym się do użycia w sytuacji, o którą chodzi korespondentowi, jest czasownik *przybyć*. Ma on co prawda troszkę książkowy charakter, ale bywa przydatny i w mowie potocznej. Gdy kogo spytamy: skąd przybywasz? to jeszcze nie wpadamy w styl celebrujący, a zupełnie się odciąć od takiego stylu możemy, nadając intonacji lekki odcień zartobliwości.

Browar

Czy wyraz *browar* i wyrazy pochodzące od niego, jak *browarnictwo*, *browarniczy* itp. uzyskały już w słowniku języka polskiego prawo swojszczyzny? Centralny Zarząd Przemysłu Piwowarsko-Słodowniczego starał się zastąpić słowo *browar* innym wyrazem, pochodzenia polskiego jak na przykład: *Zakład piwowarsko-słodowniczy*, niestety, jak wykazała praktyka, nazwa ta jest zbyt uciążliwa, niepraktyczna, bardzo trudna do zaaklimatyzowania. Wywołuje ona krytyki w prasie. Nie było prawie wypadku, stwierdza autor pisma poświęconego sprawie nazwy browaru, żeby przygodny mieszkaniec miejscowości, w której znajduje się browar, zapytany o to, jak dojść do zakładu piwowarsko-słodowniczego, wskazał właściwy kierunek, gdy tymczasem każdy od razu poinformuje gdzie jest *browar*.

Prócz tego zachodziły wypadki, że zapytywano, czy zakłady piwowarsko-słodownicze produkują słodycze i cukierki. Nazwy *wytwórnia piwa* lub *fabryka piwa*, zdaniem fachowców, nie określają w należyty sposób zakresu działalności *browaru*.

Wobec powyższych okoliczności Centralny Zarząd Przemysłu Piwowarsko-Słodowniczego skłania się do wniosku, że nazwa *browar* nadaje się do używania w języku polskim jako zadomowiona, tak samo jak na przykład niemieckiego również pochodzenia nazwa *huta*. — Wniosek ten jest niewątpliwie słuszny. Po to, żeby wyrugować z języka dwusylabowy, nie zawierający żadnych rażących ze stanowiska fonetyki polskiej brzmień wyraz *browar* i zastąpić go dziesięciosylabowym w mianowniku *zakładem piwowarsko-słodowniczym*, musiałyby istnieć jakieś bardzo poważne względy. Takich względów nie ma. Niemieckiego pochodzenia są oprócz *browaru* wyrazy na przykład: *ganek*, *dach*, *ratusz*, *rynek* i niektóre inne, od kilku wieków używane w języku polskim. Ich genetyczna niemieckość jest faktem historycznym. Usuwanie z języka tego typu wyrazów nie miałyby rzeczowych podstaw. Co innego oczywiście praca nad polską terminologią w zakresie nazw narzędzi używanych w rzemiośle i technice, bo tu wyrazy obce rozpanoszyły się ponad miarę. Właśnie ta nadmierność jest niepożądana i szkodliwa. Sam wyraz *technika* jest ostatecznie również pochodzenia obcego. Co do *browaru*, to według świadectwa Brücknera w początku wieku szesnastego nazywano go *browarnią*, a piwowara — *browarzem*, ale już u Reja spotykamy formę *browar*. Jest to wystarczająca legitymacja dawności wyrazu.

Forma

Pewien korespondent cytuje następujące zdanie z trzeciego tomu moich „Rozmów o języku“: „wyraz *forma* jest w tak powszechnym użyciu, ma tak nie skomplikowane brzmienie i tak niezastąpioną treść, że dotychczas nie wypowiadali się przeciw niemu nawet najzagorzalsi puryści“. — „Otóż na przekór temu twierdzeniu, pisze korespondent, przytoczę trzy urywki zdań, z których treści wynika, że nawet tak proste pojęcie formy wymaga bliższego omówienia (o co właśnie proszę)“. — Postaram się za chwilę tę prośbę spełnić, to znaczy omówić znaczenie wyrazu *forma*, ale przede wszystkim muszę wyjaśnić pewne drobne nieporozumienie. W zdaniu z „Rozmów o języku“ zacytowanym przez korespondenta, chodziło mi nie o treść znaczeniową wyrazu *forma*, nie o to, jakoby ta treść była tak prosta, że w nikim nie budzi wątpliwości, ale o to tylko, że wyraz *forma* mimo swojej obcości może być w języku polskim używany i nie warto dążyć do zastąpienia go jakimś wyrazem swojskim.

To właśnie mając na myśli napisałem, że przeciwko wyrazowi *forma* nie występował dotychczas żaden nawet najzagorzalszy purysta. Sprawa

znaczenia tego wyrazu jest sprawą inną i tu oczywiście jest nad czym się zastanowić. Korespondent przytacza zdania i wyrażenia, w których wyraz *forma* jest według niego niezupełnie właściwie użyty. Oto te fragmenty tekstów: „piśmienne prace kontrolne są (...) efektywną formą kontroli (...) nad przebiegiem zajęć uczelnianych studenta“. Urywek drugi: „(...) Ta masowa, aktywna forma walki była“ itd. Urywek trzeci: „Podstawowymi rodzajami pracy w Instytucie są: bezpośrednia forma pomocy studentom“ itd.

Stylizacja tych urywków wywołuje zdaniem korespondenta następujące zastrzeżenia: „*forma* to inaczej kształt, ale także i sposób, i dlatego trudno przypuścić, aby mogła być efektywna, masowa, bezpośrednia, a tym bardziej aktywna; może natomiast być forma efektowna, na przykład efektowna forma stroju aktora, a nawet ciekawa, na przykład ciekawa forma powieści lub utworu dramatycznego. Może być również forma brzydka, na przykład „brzydka forma zachowania się sprzedawcy“.

Z zacytowanych w liście trzech urywków najbardziej wątpliwej jakości stylizację ma urywek ostatni, w którym mowa o tym, że jednym z podstawowych rodzajów pracy jest bezpośrednia forma pomocy studentom. Jak to bywa bardzo często, przyczyną stylistycznego nieporozumienia jest nadużywanie wyrazów o treści abstrakcyjnej.

Wyraz *forma* może mieć treść konkretną, ale tylko wtedy, gdy się odnosi do fizycznych przedmiotów. Gdy mówimy, że stół ma formę okrągłą, to chcemy powiedzieć właściwie to tylko, że stół jest okrągły: realna treść wypowiedzi „stół ma formę okrągłą“ i „stół jest okrągły“ jest taka sama, inaczej: fragment rzeczywistości odbijający się w tych wypowiedziach jest taki sam i dlatego właśnie musimy uznać, że wyraz *forma* w wyrażeniu „okrągła forma stołu“ ma treść konkretną.

Tak samo rzeczownik *okrągłość* utworzony od przymiotnika *okrągły* nie jest właściwie — choć bywa tak często określane — nazwą abstrakcyjną, bo znaczy on tyle co *bycie okrągłym*, a *bycie okrągłym* nie jest abstrakcją.

W świecie są przedmioty okrągłe i mówiąc o jakichkolwiek okrągłościach trzeba możliwie zachowywać kontakt myślowy z okrągłymi przedmiotami, bo inaczej nasze wysłowienie przestaje być odbiciem rzeczywistości, a może się stawać nizaniem wyrazów, w których myśl bezsilnie się wikła. Klasyczną ilustracją takiego beznadziejnego wikłania się myśli w słowach jest idealistyczna filozofia niemiecka Fichtego, Schellinga i innych. Ale znowu nie wikłajmy się w dygresjach. Mickiewicz jako poeta-realista — jeżeli to dygresja, to tylko częściowo i już ostatnia — odczuwał nawet okrągłość słów w sposób bardzo konkretny, czemu dawał wyraz w znanym wierszu z „Improwizacji“: „ich okrągłość dłonią czuje, ich wdziękami się lubuje“.

Jeżeli wyraz *forma* odnosimy nie do jakiegoś konkretnego przedmiotu, ale na przykład do jakiejś czynności, wówczas ulega on uabstrakcyjnieniu. Zachodzi to w połączeniu wyrazowym „forma pomocy“.

Trochę abstrakcyjną treść ma również wyraz „rodzaj“ w połączeniu „rodzaj pracy“, bo wyraz *praca* z którym się tu wiąże *rodzaj*, jest znakiem raczej pojęcia niż wrażenia zmysłowego. Jeżeli powiemy, że „podstawowym rodzajem pracy jest bezpośrednia *forma pomocy*“, to będziemy mieli o jedną abstrakcyjność za dużo: *forma* jest tu niepotrzebna. Nie *forma pomocy*, ale sama *pomoc* musi stanowić ten podstawowy rodzaj pracy, o którym mowa w zdaniu. Uwagi te można zakończyć wnioskiem uogólniającym: wyrazy o treści abstrakcyjnej są często pułapkami dla myśli, która funkcjonuje najlepiej, gdy odbija obiektywną rzeczywistość. A ta rzeczywistość zawsze jest konkretna. Toteż konkretność wysłowienia jest zawsze zaletą, a abstrakcyjna mętność — zawsze jego wadą. Oczywiście w pewnym zakresie operowanie abstrakcyjnymi pojęciami jest koniecznością związaną z samą istotą języka, chodzi tylko o to, żeby unikać pojęć mętnych.

Przemysłowo-rolniczy

„Kraj w którym istnieje przewaga przemysłu nad rolnictwem, nazywamy krajem *przemysłowo-rolniczym*, a kraj o przewadze rolnictwa nad przemysłem *rolniczo-przemysłowym*. Mam wątpliwości czy to jest słuszne. Przecież postawienie na pierwszym miejscu wyrazu *przemysłowo* — (gdy chodzi o kraj o przewadze przemysłu) może równoważyć, ale nie przewyższa drugiego wyrazu *rolniczy*. Mówimy *polsko-radziecki, szaro-biały* i nie twierdzimy, że coś jest bardziej polskie lub bardziej szare. W powiedzeniu *przemysłowo-rolniczy* raczej wyraz *rolniczy* ma zasadnicze znaczenie. Jednym słowem jestem zdania, że kraj o przewadze przemysłu winniśmy nazywać raczej krajem *rolniczo-przemysłowym* i odwrotnie, kraj o przewadze rolnictwa — *przemysłowo-rolniczym*. Proszę uprzejmie o wyjaśnienie tej kwestii“.

Przytoczyłem cały kontekst listu, bo tok rozumowania w nim zawartego w żadnym etapie nie wywołuje sprzeciwu, a mimo to można się spierać co do słuszności praktycznej końcowego wniosku. Istotnie tak jest w języku polskim, że w połączeniu dwóch przymiotników typu *biało-czerwony*, to znaczy takich, w których temat pierwszego przymiotnika kończy się na -o, ale ten pierwszy przymiotnik nie ma charakteru przysłówka, obydwa człony są znaczeniowo równorzędne.

Korespondent odczuwa nawet, że w połączeniu *przemysłowo-rolniczy* raczej drugi przymiotnik ma znaczenie zasadnicze. Takie odczucie może się tłumaczyć tym, że formalnie nieuchwytna jest granica oddzielająca typ *biało-czerwony*, a więc złożenia równorzędne, od typu *jasno-*

czzerwony, a więc od złożzeń, w których człon drugi jest członem pojęciowo nadrzędnym, określającym, a człon pierwszy jest dodatkowym określeniem cechy wyrażonej przez człon drugi. *Jasno-czerwony* to nie jest *jasny* i *czzerwony*, ale to jest *czzerwony* w jasnym odcieniu. Forma *jasno* jest w tym złożeniu przysłówkiem, chociaż tak samo kończy się na -o, jak forma *biało-* w *biało-czerwony*.

Z drugiej strony jednak mamy takie połączenia, w których człon jest zawsze w języku polskim członem nadrzędnym, określającym: zachodzi to wtedy, gdy łączymy ze sobą dwa rzeczowniki.

Gdy powiemy o kimś *brat-opiekun*, to znaczy, że mamy na myśli kogoś, kogo traktujemy przede wszystkim jako czyjś brata i jako bratu przypisujemy mu opiekuństwo. W połączeniu *inżynier-rolnik* członem nadrzędnym jest wyraz *inżynier*, wyraz następny *rolnik* precyzuje dodatkowo zakres wykształcenia osoby, o której mowa.

Gdybyśmy powiedzieli: należy popierać przemysł i rolnictwo, to przez wysunięcie przemysłu na czoło wywołałibyśmy wrażenie, że kładziemy na niego większy nacisk niż na rolnictwo. Wymieniając jakieś osoby, jeżeli nie trzymamy się porządku alfabetycznego, zawsze wymieniamy najpierw te, które uważamy za bardziej czcigodne, wyróżniające się wiekiem, stanowiskiem. To jest przyczyną, że w połączeniu *przemysłowo-rolniczy* wiele osób odczuwa człon pierwszy jako ważniejszy.

Stan rzeczy jest więc taki: z jednej strony działa typ *jasnoczerwony*, w którym człon pierwszy ma znaczenie podrzędne, z drugiej — wyrażenia złożone z rzeczowników takie jak *przemysł i rolnictwo*, w których to się wydaje ważniejsze, co jest na pierwszym miejscu. Jakież wysnuć wnioski praktyczne? Ten — i to dosyć ważny — że analiza struktury gramatycznej omawianego wyrażenia nie wystarcza do tego, żeby bez żadnych wahań wydedukować, jak ono ma być zrozumiane. Odwołanie się do struktury gramatycznej to jest odwołanie się do tego, co w języku było do tychczas, a nas może interesować nie tylko to, co w języku było i trwa ale i to, co się zmienia dziś, i co nadchodzi. Ze stanowiska ściśle gramatycznego wyrażenie *przemysłowo-rolniczy* nie należy do takich, w których byłaby zasygnalizowana przewaga znaczeniowa członu pierwszego, a nawet, jak to odczuwa korespondent, można taki stosunek członów zrozumieć odwrotnie (tak jak w typie *bladoniebieski*). A jednak wciąż mamy z tym do czynienia, że w Polsce stosunek przemysłu i rolnictwa zmienia się na korzyść przemysłu, wiemy, że przemysł wysuwa i będzie się wysuwał na czoło. Ta świadomość wpływa na nasz sposób rozumienia złożonego przymiotnika *przemysłowo-rolniczy*: odczuwamy, że takie następstwo członów odpowiada „pierwszeństwu“ przemysłu i wydaje się to nam naturalne.

Pod względem czysto formalnym *biało-czerwony* i *przemysłowo-rolniczy* to jest typ taki sam. W obu wypadkach mamy dwa przymiotniki, z których pierwszy ma postać zakończoną na -o. Ale interpretując znaczenie całości nie można się nie liczyć z realnymi znaczeniami każdego z przymiotników. Równorzędność logiczna członów założenia *biało-czerwony* jest dla nas taka wyraźna dlatego, że wyobrażamy sobie konkretnie dwa równoległe pasy płótna, z których zszyty jest sztandar *biało-czerwony*. Musimy wyjść poza same schematy gramatyczne, musimy się liczyć nie tylko z formą, ale i z treścią wyrazów, bo w tej treści przede wszystkim odbija się zewnętrzna rzeczywistość. Regulujemy rozumienie treści pojęciowej złożenia *biało-czerwony* spoglądając na sztandar, pomagamy sobie wzrokiem. Gdy mamy do czynienia z takim złożeniem jak *kwaśno-słodki*, to rozstrzygnięcie, czy oba przymiotniki są równorzędne czy nie, a więc czy chodzi o coś, co jest w tym samym stopniu jednocześnie *kwaśne* i *słodkie*, czy też jest *słodkie* z odcieniem *kwaśnym*, staje się trudniejsze: nie mamy się do czego odwoływać, brak nam poglądowo-konkretnych analogii, które by nam pomogły ożywić schemat logicznego podziału.

Złożenie *przemysłowo-rolniczy* to nie tylko abstrakcyjny schemat przymiotnik plus przymiotnik. Jesteśmy skłonni odczuwać w tym złożeniu większą wagę członu pierwszego, bo wiemy, że na szalach *przemysł — rolnictwo*, przemysł przeważa i to podpira analogię do typu *brat — opiekun*. Toteż odczucie treści wyrażenia *przemysłowo-rolniczy* jest dosyć zgodne, a przestawienie kolejności członów, nad czym się zastanawia korespondent, nie dałoby zamierzonego efektu.

Podchodzić

Inny korespondent zwraca uwagę na nadużywanie w języku mówionym i pisanim czasownika *podchodzić*, zamiast którego lepiej by było używać czasowników *ustosunkowywać się do czego*, *ujmować co*. — Jest pewien zakres możliwych użyć przenośnych czasownika *podchodzić*, ale na ogół uwaga korespondenta jest niewątpliwie słuszna. Nadużywa się i czasownika *podchodzić* i odpowiadającego mu rzeczownika *podejście*. Pacjent, który przebywał w szpitalu i którym opiekowała się przez ten czas pewna osoba, ogłosił kiedyś w warszawskim piśmie codziennym podziękowanie dla tej osoby wystylizowane w sposób następujący: „za subtelne podejście i trudy pani tej a tej w podzięcie składa“ itd.

Stosunku osoby opiekującej się chorym do tego chorego w żaden sposób nie można nazwać *podejściem*. Jest to typowy przykład niefortunego użycia wyrazu pod wpływem mody. Do pozostałych spraw poruszonych w omawianym liście powrócę przy innej sposobności. . .

W. D.

KOMUNIKAT

W związku ze zmianą dotychczasowej formy prenumeraty bezpośredniej w P. P. K. „RUCH” i wprowadzeniem w to miejsce prenumeraty zleconej, podajemy do wiadomości naszym Prenumeratorom bliższe szczegóły tej zmiany:

1. Zmiana dotyczy przede wszystkim prenumeratorów indywidualnych, którzy nie będą jak dotychczas wpłacali prenumeraty na konto „RUCH”-u w P. P. K. O. a wpłaty dokonywać będą mogli bezpośrednio w urzędach pocztowych, w specjalnych okienkach czy też u wyznaczonych do przyjmowania prenumeraty pracowników poczty, którzy będą od razu wystawiali pokwitowania przyjęcia prenumeraty. Prenumeratorzy indywidualni będą mogli również zamawiać prenumeratę i dokonywać przedpłaty u listonoszów. Sposób ten uważamy, jeżeli idzie o prenumeratorów indywidualnych, za korzystny, gdyż listonosze będą przypominali prenumeratorom o konieczności uiszczenia w terminie przedpłaty i będą dbali o staranną obsługę.
2. Zniesienie prenumeraty bezpośredniej nie dotyczy w roku bieżącym urzędów i instytucji, które zamawiają prenumeratę czasopism pisemnie w P. P. K. „RUCH”. W takich bowiem wypadkach P. P. K. „RUCH” przyjmuje zamówienie i wykonuje je kredytowo wysyłając jednocześnie r-k, który będzie podstawą do dokonania przelewu, czy też uregulowania należności w inny sposób. Regulowanie należności za prenumeratę przez urzędy, instytucje i inne organizacje w drodze przelewów bankowych pozostaje nadal utrzymane również i w tych wypadkach, gdy prenumerator, instytucja itp. wpłaca należność równocześnie z zamówieniem.
Uprzedzamy przy tym zainteresowanych prenumeratorów, urzędy, instytucje i tp., że od 1 stycznia 1953 r. P. P. K. „RUCH” nie będzie przyjmowało prenumeraty kredytowej, a chcąc uniknąć przerwy w dostawie czasopism z początkiem roku 1953, konieczne jest uregulowanie należności za prenumeratę z góry już w roku 1952, w terminach podawanych przez placówki pocztowe i po cenach uwidocznionych w cenniku.
3. Przyjmowanie wpłat gotówkowych na prenumeratę, bezpośrednio przez placówki P. P. K. „RUCH” zostaje skasowane. Nie dotyczy to prenumeraty zbiorowej zamawianej u kolporterów zakładowych, którzy nadal będą wpłacali należność i składali zamówienia w terenowych placówkach P. P. K. „RUCH”.
4. Zarówno urzędy i agencje pocztowe oraz listonosze będą przyjmować zamówienia na prenumeratę czasopism tylko na najbliższy okres po dokonanej wpłacie: miesiąc, kwartał itd.
5. Wszelkie reklamacje dotyczące nieterminowej dostawy prenumerowanych czasopism, braków w dostawie oraz innych niedokładności należy wносить wyłącznie do tej placówki pocztowej lub listonosza u którego złożono zamówienie na prenumeratę czasopism. Bezpośrednie zgłaszanie reklamacji do P. P. K. „RUCH” lub innych instytucji powoduje opóźnienie w szybkim załatwieniu reklamacji i jest przyczyną zbędnej korespondencji.
6. Zażalenia w wypadku nienależytego załatwienia wniesionych reklamacji kierować należy do Generalnej Dyrekcji P. P. K. „RUCH”, Warszawa ul. Wilcza 46.

Generalna Dyrekcja P. P. K. „RUCH”

ADRES ADMINISTRACJI:

P. P. K. „R U C H” — WARSZAWA, UL. SREBRNA 12. TEL.: 8-05-42

WARUNKI PRENUMERATY:

Przedpłata roczna z przesyłką pocztową	30.— zł (10 zeszytów)
Przedpłata półroczna z przesyłką pocztową	15.— zł (5 zeszytów)
Cena pojedynczego zeszytu	3.— zł
Konto P.K.O. Warszawa I-15814 („Poradnik Językowy”)	

Nakład 2500. Pap. druk. satynowany kl. V, 70 gr. B. Marzec 1953.



N O W O Ś C I

A i s c h y l o s — Tragedie	zł 18.—
A k s a k o w S. — Kronika rodzinna (powieść)	„ 15.—
B r a n d y s M. — Początkowe opowieści, powieść, wyd. II	„ 13.50
B r o n i e w s k i W. — Wiersze warszawskie, wyd. II	„ 6.—
B o b r u k A. — Matka i syn — (nagr. Państw.)	„ 8.—
C o r k i M. — Dzieci słońca, sztuka	„ 8.—
G o r k i M. — Dostigajew „	„ 8.—
G o r k i M. — Barbarzyńcy „	„ 8.—
J a s t r u n M. — Poemat o mowie polskiej	„ 9.—
J a s t r u n M. — Spotkanie z Salomeą wyd. II	„ 7.30
J e z i e r s k i F. — Wybór pism	„ 16.30
K o ź n i e w s k i K. — Piątka z ulicy Barskiej (nagr. Państw.) powieść	„ 14.—
Ł u s a k o w s k i S. — Pamiętnik zdeklasowanego szlach- cica	„ 15.—
O s m a ń c z y k E. — Siedem gawęd	„ 5.—
P e p y s M. — Dziennik (w opr. pólst.)	„ 35.—
(w opr. sztywnej)	„ 40.50
S ł u c k i A. — Spotkania	„ 5.—
T e t m a j e r K. — Maryna z Hrubego	„ 12.—
T e t m a j e r K. — Janosik Nędza Litmanowski	„ 12.—

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY